

P 20 6 9 2

NA SZLAKU KRESOWEJ

za naszą i waszą



z wolności

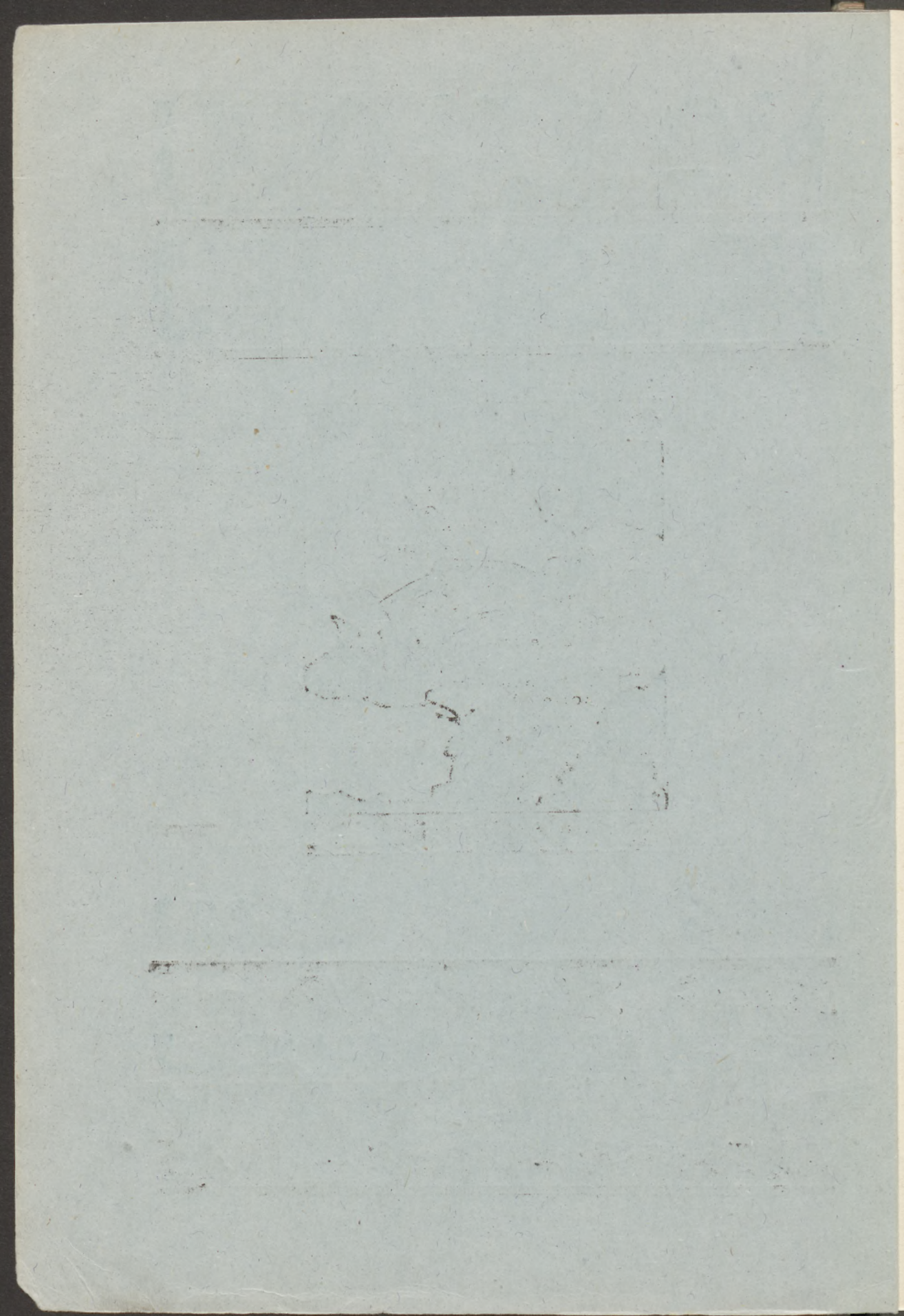
NR 4

(22)

Ref. Kult. i Prasy

KRESOWEJ
DYW. PIECHOTY

W. Tochy - Maj - 1945



Na Szlaku Kresowej

Numer 4 (22)

Referat Kultury i Prasy Kresowej Dywizji Piechoty

Włochy

*

Maj

*

1945

K 19/8
1986

Na Szlaku Kresowej

Redaktor : Witold Zahorski



Adres Redakcji : C. M. F. Polish Forces 302

Tłoczono w Drukarni Polowej A.P.

Wykonania dopilnujemy!

*Szli, krzycząc: Polska! Polska! — wtem jednego razu,
Chcąc krzyczeć, zapomnieli na ustach wyrazu;
Pewni jednak, że Pan Bóg do synów się przyzna,
Szli dalej, krzycząc: Boże! Ojczyzna! Ojczyzna!
Wtem Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka,
Spojrzał na te krzyczące i zapytał: jaka?*

JULIUSZ SŁOWACKI

Rada Jedności Narodowej w Kraju, w ogniu Powstania Warszawskiego sierpnia i września 1944 r., w dniu 15 sierpnia, w rocznicę „Cudu nad Wisłą” uchwaliła i ogłosiła, co następuje:

Polska w tej wojnie walczy nie tylko o byt i niepodległość, ale i o wyższe cele. W ramach Karty Atlantycznej, określającej cele wojenne Narodów Sprzymierzonych, Polska ma swoje własne dążenia i konieczności dziejowe. Zagrożona powtarzającą się raz po raz agresją imperializmów Polska musi mieć zapewnione bezpieczeństwo i możliwość spokojnej pracy na wiele pokoleń. Polska chce się rządzić według własnych zasad i praw. Zasady te zostały już ogłoszone w odezwie z dnia 26 lipca 1944 r. Stanowią one gwarancję, że ustrój przyszłej Rzeczypospolitej oparty będzie o wolność polityczną i sprawiedliwość społeczną.

Podstawami ustroju Polski, jako Rzeczypospolitej Demokratycznej, będą:

- a) Przyszła konstytucja, zapewniająca sprawne rządy zgodne z wolą ludu,
- b) demokratyczna ordynacja wyborcza do ciał ustawodawczych i samorządowych, dająca wierne odzwierciedlenie opinii społeczeństwa,
- c) przebudowa ustroju rolnego przez parcelację przeznaczonych na ten cel: posiadłości niemieckich, obszarów ziemskich ponad 50 ha.

- oraz skierowanie nadmiaru ludności rolnej do pracy w przemyśle i rzemiośle,
- d) uspołecznienie kluczowych gałęzi przemysłu,
- e) współudział pracowników i robotników w kierownictwie kontroli produkcji przemysłowej,
- f) zagwarantowanie wszystkim obywatelom pracy i dostatecznych warunków bytu,
- g) sprawiedliwy podział dochodów społecznych,
- h) upowszechnienie oświaty i kultury.

W dążeniu do urzeczywistnienia tych celów będziemy walczyć aż do zwycięstwa. Jest ono już blisko. Musimy tylko wszyscy dać z siebie największy wysiłek.

Wytrwamy - zwyciężymy!

Rada Jedności Narodowej

Warszawa, dnia 15 sierpnia 1944 r.

Uchwała ta jest wydarzeniem olbrzymiej wagi. Przyszła ona z walczącej, krwawiącej się Warszawy.

Armia Krajowa (ważność tej uchwały przypieczętowała krwią i najwyższą ofiarą.

Jest to testament, tak Rady, jak i Armii Krajowej.

Testament ten przejmujemy.

Tak samo myśleliśmy i czuliśmy tu, na obczyźnie.

Od testamentu tego nie odstępimy.

Wykonania dopilnujemy.

WIELKOŚĆ CASSINA

(W pierwszą rocznicę bitwy)

Czy wiesz o tym, żołnierzu, że jest w Rzymie kościół S. Pietro in Vincoli?... Trafisz doń, gdy minąwszy Forum Romanum skręcisz w ulicę Frangipane, a potem wstąpisz na schody kamienne o starych i wytartych stopniach. Długo będziesz po nich stapał, stawiając nogi w wyżłobiny, wydrążone stopami tyłu przed tobą od wieków idących tędy przechodniów—długie bowiem są te schody—aż wreszcie znajdziesz się w kościele.

No, cóż! Kościół, jak kościół. Tyle już ich widziałeś w Rzymie, (gdys z petyzmem krążył po jego zakątkach. Widziałeś i wielkie i małe. I te pełne sztuki misternej i błyskotliwej, gdzieniegdzie rozparte świeckością, a może i pychą dawnego państwa papieży, jak te o nieskalanej harmonii, gdzie piękno pomaga ascezie nieść modlitwę do nieba i gdzie—choćbyś sam wierzącym nie był—zrozumiesz w lot o co się rozchodzi.

Gdy jednak podejdziesz bliżej, aż po otarż wielki, ujrzysz po prawej stronie posąg człowieka nadnaturalnej wielkości, z jednej bryły marmuru wykuty.

Zdziwisz się i sam jak posąg urzeczony staniesz. Będzie to Mojżesz Michała Anioła. Siedzi oparty o tablice dziesięciorga przykazań.

I nie wiesz z razu, co cię tak urzekło?

Chyba nie sam ogrom bryły marmurowej, ani myśl wątpląca: jakżeś to starczyć mogło życia jednej parze rąk ludzkich, by z kamieniam tak wielkim zdążyć się uporać? Ani proporcja wymiarów, idealnie zachowana, bo stoisz tak blisko (nie masz gdzie się cofnąć, balustrada tył ci zamyka), że i perspektywy mieć nie możesz, a potężne członki i tors postaci zamęt ci robią w głowie tak, iż z początku nie wiesz, jak na nią patrzeć.

Nie! To nie to cię tak wzięło. Urzeczony jesteś przecież, a nie tylko pełen podziwu. Stoisz więc i stoisz, myślisz i dumasz i nie znajdujesz rozwiązania zagadki.

Aż wreszcie rozumieć zaczynasz. Jasność cię ogarnia jakaś, ślepniesz, to znów przeczujesz na przemian i wreszcie zobaczysz, wiesz.

Oto rąbek potężnej kotary uchylił ci Mistrz i ujrzalesz Ją: wielkość sama, jedyna, potężna, która rodzi idee, zapładnia umysły, burzy światy, buduje nowe, jest matką fanatyków. Zawsze ta sama, choć różne formy przybiera—tym razem w bryle marmurowej zakłęta.

I nienawykły wchłaniasz w siebie to zjawisko, bo wiesz, jak niełatwo z nim się spotkać. Wiesz, jak nieczęsto się zdarza, by rąbek tajemniczej zasłony śmiertelnym bywał odsłaniany.

A czy wiesz żołnierzu, że ty sam stworzyłeś, przeżyłeś i tym razem wznosisz się ku idealnej wielkości, bijąc się pod Cassiną?

Ona bowiem, ta sama, wspaniała, w pole bitewne się zakłęta. Ona napewno, świetlana i płodna, a jak słupy młowe widomym i ślepym wskazująca drogę. Ona.

Wielkość Cassina słowami opisać się nie da. Mówmy o narzędziu, którym została wykuta.

Żołnierz polski, w odróżnieniu od innych, nie bił się ani o naftę, ani o rynki zbytu, czy panowanie nad światem, ani o żaden podobny business. Nie powodował nim ani interes własny, ani też—jak to się w niektórych kołach mówi—interes konsorcjum kapitalistów za zielonym stolikiem siedzących, czy fabrykantów broni.

Żołnierz bił się nawet nie tylko o Polskę, bo zdawało się, że i przyjaciele ją zaprzędają — a bił się o samo Ja. Tak! Nie o swój dom czy zagrodę, nie o matkę, żonę, kochankę, bo nie wiedział nawet czy istnieje. Bił się na cudzej ziemi, pod cudzym słońcem i gwiazdami. Bił się o abstrakt, po prostu w obronie wiary w abstrakt.

Zdobyć się wówczas na heroiczne czyny — wprost nie do wiary w jakich warunkach dokonane na Widmie, Angelo, na 593 i 569 — mógł tylko człowiek, który kuje wielkość. Takim był żołnierz. On sam śmiało, a z czystą duszą i ręką wdarł się za tajemniczą kotarę i tworzyć począł wielkość, a poznać ją można przede wszystkim po bezinteresowności.

I zaczął dokonywać dzieła męstwa: poświęcenia niespotykanego w normalnych bitwach, nadludzkiego. A gdyby go kto wówczas zapytał skąd ten zryw jakby w zaślepieniu poczęty, a potężniejący z każdym z owych dni i nocy bitwy i aż do poziomu nieziemskiej ekstazy wzniesiony — nie wiedziałby co odrzec. Zaczął dokonywać czynów męstwa dla samego męstwa szlachetnego.

I po szlachetności poznać można wielkość.

A fanatyzm go jakiś ogarnął męczeństwa i wiary, byłby się dał sieć i rąbać i ten, który dał się na bunkry i ten, który ponad siły swych pleców kazał sobie sypać amunicję do worków i noszaków, bypiąć się z nią po skałach. A z ambulansów i punktów opatrunkowych, a nawet odesłany daleko w tył do szpitali, ten postrzępiony i pokrwawiony fanatyk rwał się pod Cassino z powrotem. To niespotykane w innych bitwach.

Tylko Wielkość zdolna jest zwerbować fanatyków. A więc i po tym poznać ją można.

I dalej. Stary żołnierz, który w niejednej już bitwie palce mazał i wie jak ona naprawdę wygląda, przeżył niesamowitą historię. Przecież on wie dobrze, że wszystko, co poeci i literaci napisali o bitwach, które przeżył, to jedna wielka bujda i łgarstwo, dla potomności napisane. Ładnie może, ale nieprawdziwie. Naoslał, co im naopowiadano, albo co im ich fantazja poetyczna podpowiedziała. Jak to Jasie ginąc krzyknął: „za ciebie Polsko”, jak to wszyscy szli do szarów myśląc tylko o Ojczyźnie i Matce Boskiej, jak to z łapałem — jakby nigdy nie — spacerowali w największym ogniu artylerii i powieka im nawet nie drgnęła, jak śpiewali o tej „co nę zginęła”, gdy bagnety lokowali w kischach wroga i tym podobne rzeczy.

Czytał to żołnierz i myślał: o, jakież daleka jest poezja od rzeczywistości. Jakież jest inaczej, niż ty to opiewasz!

Aż tu nagle tam, pod Cassino, omam jakiś czy cud? Odwróciły się role. Żebyś

nie wierzył co poeta napisał i tak nie zdołasz oddać tego, co było. Tam się działała niespotykana w dziejach czynu wojennego rzecz.

Poezja stała się prawdą, a prawda była poezją.

A kiedyś, za lat może parę, gdy perspektywa dziejów pozwoli nam trzeźwo za siebie spojrzeć i ocenić — okaże się napewno, że Cassino było punktem decydującym i zwrotnym w tragicznej naszej historii, której początkiem był 1939 rok.

Gdy wrócimy do wolnej Polski i spokojni będziemy na świecie, będą pytać się ludzie: od kiedy zaczęło się „dobrze?”

Szukać będą i szukać, aż wreszcie ktoś wpadnie na to: „Ależ naturalnie! Tak! Przecież to jasno jak słońce — od Cassina, nie inaczej!”

Cassino zdecydowało. Coby bowiem było, gdyby żołnierz przegrał bitwę pod Cassino?

2 Korpus przestałby istnieć. Z takich ran jakie poniósł, tylko zwycięski mógł się wyleczyć. Pobity zginąłby.

Dziś już coraz bardziej dostrzegamy, że klęska Korpusa nie tylko zachwiałaby sprawę polską, ale i coś jeszcze większego: prawdziwą wolność dla wszystkich uciśnionych narodów. Póki my żyjemy i nasz sztandar wysoko dzierżymy — wieko nie jest jeszcze przybite do ich trumny.

Gdy podeptaną zda się Karta Atlantycka i ideologiczne założenie wojny — cały świat uciśniony na Polskę patrzy z nadzieją i podziwem, jak to ona, omal że sama dziś, sztandar mocno trzyma, a napisane na nim jest już nie tylko słowo „Polska” ale i „Za naszą i waszą wolność”.

I słychać ten łopot i na Litwie i na Łotwie i Estonii. Słychać i na Węgrzech i w Rumunii. Serbowie i Chorwaci patrzą w jego stronę, a trzepot zda się potrącać o Białoruś i Ukrainę.

Jeśli zrodzi się dobro z Cassina, co tak blisko podziemi mamertyńskich św. Piotra leży, to i po tym poznać Wielkość, bo ona, jeśli prawdziwa, tylko dobro płodzić zdolna.

I rosną nowe idee na świecie, idzie świat jutra, kuja się charaktery, zapłodnione przez przeżycia wielkie, jakim jest zetknięcie się twarzą w twarz z Wielkością.

A tobie, żołnierzu, łos uśmiechnął się, rozchylił tajemniczą kotarę, dojrzałeś ją w pełnym blasku, urzekła cię i teraz jesteś na nią skazany.

Klemens Rudnicki

Za naszą i waszą wolność

Meldunki sytuacyjne z nocy podawały o intensywnym ogniu nieprzyjaciela na całym odcinku. Ostrzeliwane były przede wszystkim drogi zaopatrzenia, które zakosami, wśród przepaści wspinały się w górę, minawszy dolinę rzeki Rapido.

Cały dzień poza tym panował dziwny spokój. Artyleria niemiecka milczała. W sztabach pytano: dlaczego? A może nieprzyjaciel wycofuje się? Może przegrupowuje swoją artylerię? Lotnictwo jednak stwierdziło, że Niemcy normalnie siedzą w schronach bojowych, a na drogach panuje cisza. A więc wróg wcale nie zamierza się wycofywać, lecz bronić uparcie do ostatka sił. A jeśli tych sił zabraknie przyśle z odwodu, by trzymać fortecę Monte Cassino, bo wie, że przegrana tu bitwa otwiera bramy do Rzymu. Sztaby niemieckie, ślecząc miesiącami przy mapach, właśnie ten masyw górski, jako punkt odpowiadający najbardziej wszystkim warunkom obrony wybrały na punkt oporu. Nikt nie przedrze się przez dolinę rzeki Liri i Rapido, które ze szczytów gór widać jak na dłoni. Widać każdy ruch, widać każdą ścieżkę. Widać drogę biegnącą do Rzymu, która właśnie białą taśmą przebiega u stop dominujących wzgórz.

— Nie! Choćby sami diabli atakowali... Nie nie robią — mawiał Kesserling do swych generałów. Tu już rozbili się wojska angielskie, amerykańskie, francuskie, hinduskie.

Nie! Niemożliwe! To jest droga do Vaterlandu. Musimy bronić za wszelką cenę!

Ale dla Polaków nie ma nic niemożliwego — powiedział Napoleon do polskiej kawalerii pod Samosierrą. Poprzez Monte Cassino prowadzi droga do Polski, do wolności. Nic więc dziwnego, że sztab polski wkładał swój mózg, swoje serce przy układaniu szczegółowego planu, przewidując w najmniejszych drobiazgach wszelkie ewentualności — by wrogowi zadać śmiertelny cios.

„Dzień dzisiejszy jest dniem „D”, w którym o godzinie „H” rozpocznie się działanie „Honker”. Godzina 23 jest godziną „H” dla działania „A więc dziś” — szeptano w schronach. W nocy...

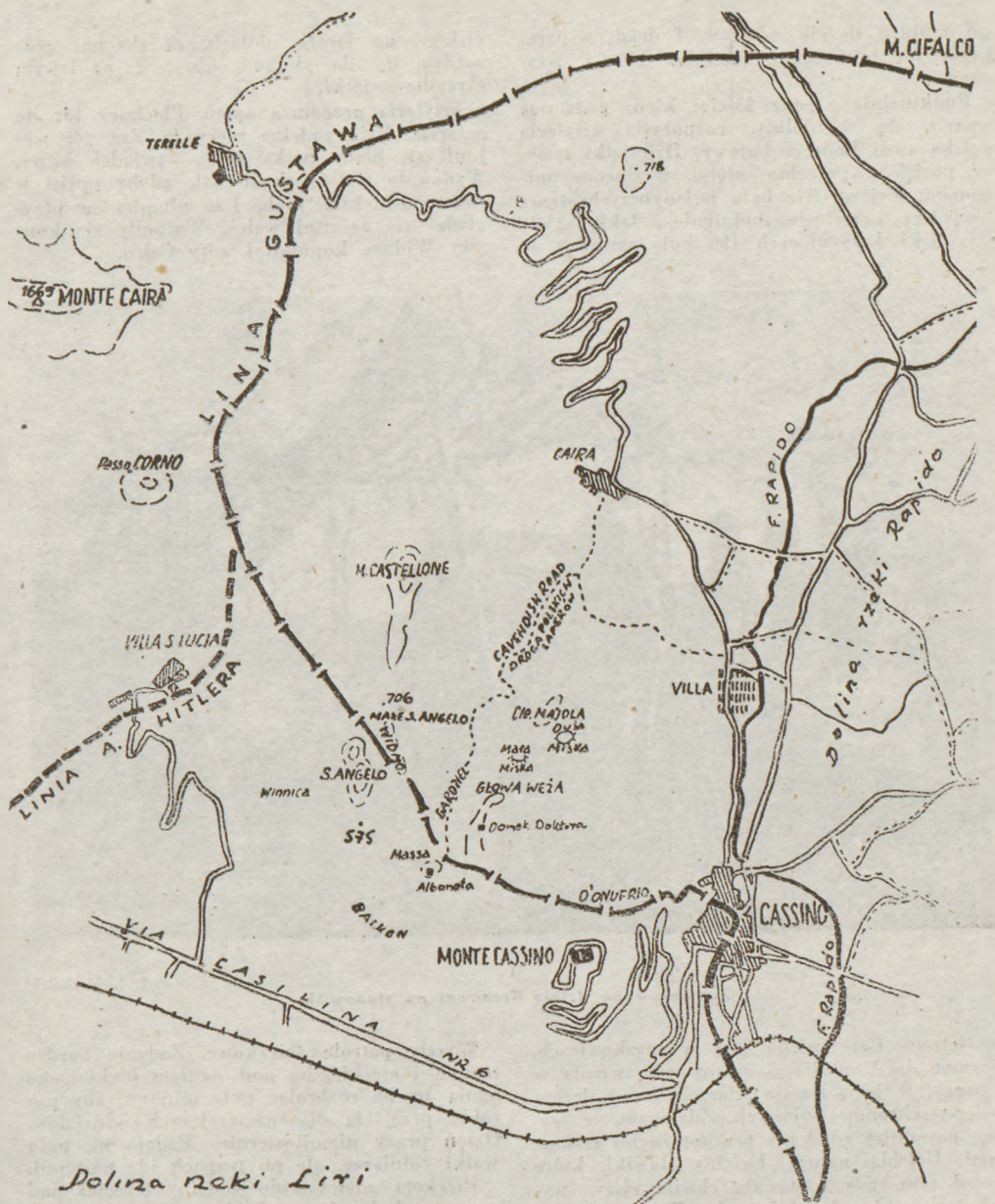
We wszystkich komórkach, sztabach przyczajonych w okopach, które wgrzyły się w stoki, zbocza, wąwozy gór, panuje gorączkowe podenerwowanie. Wśród śmiertelnej ciszy — bo i nawet artyleria przestała strzelać — powstaje obraz ciężkiej bitwy. Żołnierz słucha rozkazów:

„Żołnierze! Kochani moi Bracia i Dzieci! Nadeszła chwila bitwy. Długo czekaliśmy na tę chwilę odwetu i zemsty nad odwiecznym naszym wrogiem. Obok nas walczyć będą dywizje brytyjskie, amerykańskie, kanadyjskie, nowozelandzkie, walczyć będą Francuzi, Włosi, oraz dywizje hinduskie.



Piedimonte

Fot. J. Hryniewicz



Dolina rzeki Liri

Zadanie, które nam przypadło, rozstrawi na cały świat imię żołnierza polskiego. W chwilach tych będą z nami myśli i serca całego narodu, podtrzymywać nas będą duchy poległych naszych towarzyszy broni.

Niech lew mieszka w waszych sercach.

Żołnierze, — za bandecką napaść Niemców na Polskę, za rozbiór Polski wraz z bolszewikami, za tysiące zrujnowanych miast i wsi, za morderstwa i katowanie setek tysięcy naszych sióstr i braci, za miliony Polaków jako niewolników wywiezionych do Niemiec, za niedolę i nieszczęście Kraju, za nasze cierpienia i tułaczkę.

Z wiarą w sprawiedliwość Opatrzności Boskiej idziemy naprzód ze świętym hasłem w sercach naszych: „Bóg, Honor i Ojczyzna!”

„Dziś nadeszła dla nas godzina krwawego odwetu. Tej godziny długo czekaliśmy, oczekuje jej umęczony kraj nasz i Polacy rozproszeni po całym świecie.

A więc, Żołnierze! Do czynu! Do broni! — I w łeb, lub serce pal!”

A potem słowami rozkazu przemawiają Alianci:

... „Plan nasz jest opracowany w każdym szczególe, a natarcie wykonane wielkimi siła-

mi z dużą ilością czołgów i dział, wsparte potężnym lotnictwem amerykańskim i własnym”.

Punktualnie o godz. 23-ciej, kiedy gęsta noc wparła się w doliny, rozpoczęła artyleria polska swój koncert bojowy. Dziesiątki tysięcy pocisków przecina niebo, wyłoczone milionami gwiazd. Nie było pojedynczych strzałów, lecz przeciągłe dudnienie... Jakies świsły, jęki krzyżujących się kul, zawodzą w

cisków, po jarach, dolach, za skalami gromadzą się do skoku Zubry, a na lewym skrzydle Świerki.

Artyleria przedłuża ogień. Piechury idą do natarcia. Była godzina pierwsza. Zza gór wyłonił się błądy półksiężyc — świadek bitwy. Wydawało się, że chwile jak gdyby zawisł w ciemnym błękitie nieba i ze zdumieniem przyglądał się zażartej walce. Wyłoniły się kontury Widma, kopulastej góry Cairo.



Zamaskowane działo Kresowej na stanowisku

Fot. J. Michalski

powietrzu. Całe niebo stoi w błyskawicach. Grzmot dział odbija o ściany gór, wpada w wąwozy, w jary, trzęsie wierzchołkami drzew, polepą schronów bojowych. Zdaje się, że szaleje nawałnica górską, z przepotężnymi grzmotami. Uciekła natura. Uciekły słowiki, które przed tym, gdy nastawała chwila ciszy, wyłęknione śpiewały nad rzeką Rapido. Nawet pochowały się świetliki, które dotychczas zygzakami, niby jasne płomyki duchów, kreśliły się między zielenią rzek. Uciekł koncert zab w dolinach.

Ala ciszy nie było.

Rozpoczął się śmiertelny bój.

Po stronie nieprzyjaciela powstają pożary. Płonie San Biagio i Monte Cassino. Widocznie artylerzyści trafili większe składy amunicji.

Dokładnie dwadzieścia minut przed północą zaczyna się wściekać artyleria niemiecka i moździerze. Kładzie ogień zaporowy na Castellone, jak gdyby chciała odgrodzić brygadę „Lwów”. Wśród gradu rozrywających się po-

Wyszły patrole ścieżkowe. Zadanie bardzo trudne i ciężkie, bo pod ogniem piekielnego ognia trzeba rozbrajać pola minowe, aby zrobić przejścia dla nacierających oddziałów. Ogień praży niemiłosiernie. Padają na polu walki żołnierze, ale po trupach idą następni.

Piechota gdzieś koło godziny trzeciej nad ranem wdarła się na Widmo. Rozpoczęła się bardzo ciężka walka. Niemcy siedzą w głębokich, wykutych w skalach „pillboxach” i stamtąd rażą ogniem broni maszynowej. Trzeba każdy schron zdobywać pojedynczo. Robota nie jest łatwa, gdyż każdy „bunkier” jest dobrze zamaskowany wśród zakrzaczenia dębowego, a smugi świetlnych pocisków przecinają ciemną przestrzeń nocy ze wszystkich stron. Jak tu dojść? A trzeba! Bo artyleria sama nic nie zrobi. Trzeba wyrzucić wroga, który wgrzył się w skały. Podchodzą chłopcy blisko, łomocze serce niby skrzydła wystraszonego ptaka. Rzucają granaty, po prostu wypychają przez otwory do wnętrza.

Walka na Widmie wzmagą się, potężnie. Przeciwnik lawina ognia ciężkiej broni grzeje

z Mass Albanet, z Passo Corno, wzgórze 575.

Nad ranem „Widmo” zostaje całkowicie opanowane, a baony usadawiają się i konsolidują pod ciężkim ogniem artylerii i moździerzy. Zaczyna dokuczać silny ogień z Belmonte-Taralle, oraz terkoczą spandau’y z San Angelo.

Wstał już szary dzień. Przeszedł przez dolinę rzeki Rapido i zatrzymał się najpierw na wierzchołkach gór, a potem zszedł w wą-

Następne trzy dni, dzień trzynastego, czternastego i piętnastego maja, poświęcone zostały zorganizowaniu nowego natarcia. Lecz walki nie ustają. Nie! Nie można w żadnym wypadku pozwolić, by przeciwnik odpoczął. Trzeba go gnębić, dusić aż do skutku. Hydra na Widmie żyje, odrasta...

Przez dolinę rzeki Rapido, gdzie kwitną czerwone maki, niby morze rozlanej krwi, płyną we dnie i w nocy kolumny amunicji, żywno-



Donoszenie wody i amunicji dla walczących na Widmie

Fot. A. Chruściel

wozy, jary — wkradał się w zasłony dymem, które gęsta mgła spowily otaczające góry. Na polu walki leżą zabici i ranni. Rozchodzi się zapach prochu i świeżej krwi. Ze względu na niski pułap chmur lotnictwo nie może niszczyć nieprzyjaciela.

Dalsze natarcie zostaje zahamowane. Żołnierz musi odpocząć! Nie staje siła, a nerwy wśród piekielnego ognia porwały się w strzępy.

Zapada decyzja uderzenia po południu. Ale już dziesięć minut przed dziewiątą wychodzi pierwsze przeciwuderzenie nieprzyjaciela z rejonu Mass Albanet. Zostaje odparte ogniem zaporowym artylerii. I znowu na Widmo sypie się cała lawina pocisków. Zeby już, niech będzie śmierć, bo tu nikt nie wysiedzi. Szepty modlitwy zwarły usta. Pękły nerwy. Ktoś płacze, ktoś się śmieje...

We wczesnych godzinach popołudniowych wychodzi ponowne silne przeciwnatarcie, a skrawione baony muszą opuścić Widmo na linię podstaw wyjściowych, aby tu się zorganizować i uporządkować. Na polu walki pozostali zabici i ranni.

ności. Cała dolina wypełniona po brzegi dymem, który pnie się leniwie na Cifalco, górę Cairo. Przez tę zasłone dymna naładowane wozy wciskają się karkołomnymi i wąskimi ścieżynami górskimi na pierwszą linię — niby węże. Praca nie ustaje. Praca krwi w pierwszej linii i praca potu na zapleczach.

Noc z piętnastego na szesnastego maja minęła naogół spokojnie. Za dnia szły głuche pomruki artylerii. Uspokoilo się trochę dopiero koło godziny szesnastej, kiedy nieprzyjaciel na Widmie wywiesił flagę Czerwonego Krzyża, by pozbierać rannych.

Pod wieczór znowu rozgorzała walka. O godzinie 19.30 padło hasło — naprzód! Piechota podchodzi na ostatni grzbiecik tuż pod samymi stanowiskami nieprzyjaciela. Rozwijają się kompanie w prawo.

Zaczekać! O zmroku szturm!

Nacierają piechury. Warczą czołgi. Rozpoczyna się koncert życia i śmierci. W klasztorze Cassino słychać silną detonację. Wróg stamtąd strzela w górę rakiety zielone, czerwone i żółte. W Piedimonte powstaje silny pożar. O godzinie 22 bezpośrednio na Widmie

toczy się już po raz wtóry walka. Walka wręcz, na granaty. Istne piekło ognia, wśród którego konają ranni. Słychać jęki. Każdy bunkier trzeba zdobywać pojedynczo. Trzeba po prostu wejść do wnętrza. Tu odbywają się tragedie, o których już nam nikt nie powie.

Wstał krwawy dzień 17 maja. Walka na Widmie nie skończyła się dnia wczorajszego. Niektóre tylko oddziały wdarły się na jego północną część. Południowa zaś, ze względu na swój charakter, była trudniejsza do zdobycia, gdyż bunkry ukryte były w gęstej dębini.

Wczesnym rankiem wychodzi przeciwnatarcie nieprzyjaciela. Widać, jak chyłkiem zsuwają się z San Angelo i Mass Albanet.

Atryleria-ognia!

Zagrała broń naszynowa. Wroga odpędzono, a już koło godziny siódmej inny batalion „Zubrów” robi skok na San Angelo. Ale jak na Widmie, tak i tu, walka trwać będzie jeszcze przez cały dzień. Niemcy stawiają nadal zacięty opór. Czołgi ruszają w gardziel; ze stoków Widma zwalczają bunkry na wzgórzu 575 i San Angelo. Comandosi z rozpaczliwą determinacją walczą już na północno-zachodnich stokach. Piechota zbliża się pod wzgórze 575.

Szala zwycięstwa waha się. Nie wiadomo... Artyleria nie może zrobić bunkrom. Tam musi iść człowiek.

Około godziny 10-ej artyleria niemiecka rozpoczyna kanonadę z Piedimonte i Passo Corno. Wychodzi przeciwnatarcie przeciwnika. Brak amunicji, bo wśród piekielnego ognia nie można jej dostarczyć. Wielu ginie. Gina oficerowie, gina szeregowi spod Wilna, Lwowa, Poznania, Katowic, Warszawy. W samo południe ginie na San Angelo płk. Wincenty Kurek, dowódca wileńskiej brygady piechoty.

Piechota nasza zmuszona została do wycofania się na wschodnie stoki, ale już po 45-minutowym ostrzelaniu artyleryjskim Polacy znowu odzyskują straconą pozycję.

Kiedyż nareszcie skończy się to piekło? Kiedyż zmęczone oczy odpoczną? Kiedyż starcane nerwy odprężą się? Odpoczynku nie ma!

Z Villa Santa Lucia poprzez Winnicę wyrusza nowe — nie wiadomo już które — przeciwnatarcie w sile około dwóch baonów. Brak amunicji. Trzeba zrobić skok do tyłu. Szkoda San Angelo. Trudno. Takie są prawa bitwy. Ale muszą wydrzeć utracaną ziemię! Przemęczeniu, skrwawieni — nacierają. Jakże ciężko... Nawala ognia ciężkich moździerzy z rejonu Villa Santa Lucia... Ziemia kotłuje się, kamienie syją się w górę. Dopiero pod wieczór została częściowo odbita upragniona pozycja. W oparach krwi zakończył się pamiętny dzień. Do sztabów popłynęły meldunki:

„Dywizja po bardzo ciężkich walkach osiągnęła i trzyma Angelo. Nie mam wiadomości, co się dzieje na przeciwstokach Angelo i 575”.

„Zamiarem moim na dzisiejszą noc jest utrzymać 706 — Angelo, kończyć rozpoznanie i oczyszczanie kompleksu wzgórz Angelo, poświęcając noc na uporządkowanie zupełnie przemęczonych oddziałów”.

„Na Widmie nie chcę nic trzymać ze względu na duży ogień art. i moździerzy npla”.

„Dywizja poniosła poważne straty — bliżej określić nie mogę”.

„Proszę o wysłanie zaopatrzenia mułami normalną drogą. Postaram się o przewodników”.

„Nie zapomnieć dostarczyć amunicji, wody i żywności na przybliżony stan”.

Nieprzyjaciel, złamany wczorajszym natarciem Dywizji Kresowej, nie miał już siły do skutecznego przeciwdziałania.

O godzinie dziesiątej minut dwadzieścia — Pułk Ułanów Podolskich — zatyka sztandar polski na ruinach klasztoru Monte Cassino.

Przeciwnik pod wieczór próbuje jeszcze zęzęcia i uderza z kierunku Villa Santa Lucia, ale ostatecznie zostaje pobity, a bitwa, która rozpoczęła się przed tygodniem o godzinie dwudziestej, została definitywnie zwycięsko zakończona.

Rolę, jaką w bitwie o Monte Cassino odegrała Dywizja Kresowa, określił dobitnie Gen. Leese w piśmie do Dowódcy Kresowej:

Mój Drogi Generale,

Zanim Korpus Polski opuści szeregi 8 Armii, pragnę przesłać moje osobiste gorące gratulacje Panu i Jego Sztabowi, oraz Oddziałom za ich wspaniały czyn w niedawnej walce.

Przez zdobycie wzgórz S. Angelo i punktu 575, które jak ocenialiśmy poprzednio, a jak teraz upewniliśmy się — stanowiły pozycję kluczową całej niemieckiej obrony — Dywizja Pana w wysokim stopniu przyczyniła się do wykonania całości planu natarcia Armii.

Niezależnie od męstwa i mocy, jakie Oddziały Pana wykazały w natarciu, otrzymuję dużo pełnych uznania meldunków o ich wspaniałym duchu, oraz zaciętości w walce i odpięciu wścickłych i wielokrotnych przeciwnatarć niemieckich.

Zdając sobie dobrze sprawę, że 5 Kresowa Dywizja poniosła bardzo ciężkie straty, mam nadzieję, że wkrótce będzie możliwe wycofanie jej z linii — tak, że Oddziały Pana będą miały czas wzmocnić się i powrócić do sity.

Dziękując jeszcze raz Panu osobiście za świetne dowodzenie Dywizją i za jej wspaniały czyn, pragnąłbym wyrazić, jak bardzo oczekuje powrotu oddziałów polskich do 8 Armii, w której zasłużyły sobie na tak zaszczytne wyróżnienie.

Wasz zawsze — Oliver Leese.

Czesław Kwieciński

Kresowa pod Cassino*)

Zaczęły Bataliony Lwowskie

Ta kanonada wieczorem 16 maja okazała się wbrew oczekiwaniom stron, rozpoczęciem natarcia, inicjującego drugą fazę Bitwy o Monte Cassino. Honor tego rozpoczęcia przypadł Kresowej, ciężar tego rozpoczęcia spadł na jeden z Lwowskich Batalionów, który płacił konto tych wszystkich dni krwawiącymi patrolami, a obecnie miał ruszyć.

Dowódca tego batalionu, mjr. St. zarządził jeszcze 14-go rano, zaraz po powrocie trzech nocnych patroli, „odprawę rozpoznawczą”. Termin — raczej może rzadko spotykany w słownictwie wojskowym. Ale bo też i odprawa była, jaka nie często się zdarza.

Major zasiadł w płytkim schronie swego zastępcy, kpt. B. Tam na odprawę mają się zebrać wszyscy oficerowie batalionu do dowódców plutonów włącznie. Ale, że schron kpt. B. był widoczny dla Niemców, więc na tę odprawę dobiegało wąską ścieżyną po dwóch, a nie mogąc się zmieścić w schronie, zapadli za najbliższym kamyczkiem. Kiedy już wszyscy zalegli się w krąg po dziurach, major wzywa po dwóch kolejno do schronu, przez szczelinę pokazuje ich kierunek natarcia, poczem każda dwójka wychodziła w teren i wypatrywała swój odcinek. Schrony z kamieni widzieć na całej długości. Patrole ustaliły gniazda sześciu cekaemów niemieckich, ustaliły, że punkt obserwacyjny niemiecki funkcjonuje w pobliżu zrujnowanego domku, który w poprzednim natarciu przechodził z rąk do rąk.

Jednym słowem — Niemcy znów mocno obsadzili teren i trzeba będzie ich od początku wykurzać.

Po południu mjr. St. zarządza formowanie grup szturmowych. Każda kompania wydziela trzy takie grupy. Każda grupa dzieli się na grupę uderzeniową i grupę wsparcia. Grupa uderzeniowa składa się z trzech podgrupek, każda po 4-6 ludzi, działających samodzielnie. Te podgrupy są zaopatrzone w lont wybuchowy,

który rzuca się na teren na 20 metrów wprzód i, odpalając, detonuje się położone miny, w rury Bengalora do rozrzucania drutu kolczastego, w miny ulowe dla naprowadzania na ścianę schronów niemieckich i rozwalania ich, w nożyce dla ciągnięcia drutu, w nakłuwacze dla wykrywania min, w Piaty dla rozwalania schronów, w tomigany dla wystrzeliwania ludzi, w granaty obronne, zaczepne i zapalające, w pociski smugowe dla wskazywania celów własnym moździerzom. Grupom wsparcia pozostawiono wszystkie elkaemy, garłacze (wyrzucające granaty) i lekkie, 2 cm. moździerze piechoty. Żołnierze pozostali w kompaniach i nieprzydzieleni do grup, mają iść w drugim rzucie i wygniatać to, co pozostanie po przejściu szturmowców.

Bardzo to wszystko skomplikowane, podczas, kiedy stara zasada mówi, że działania nocne im trudniejszy teren, tym muszą być prostsze!

1. Natarcia muszą być wykonane tylko na przedmioty bliskie, dobrze rozpoznane za dnia — ale jak to wykonać, kiedy za Widmem leżą nierozpoznane Małe St. Angelo i 575, które trzeba będzie zdobyć, jak to zrobić, kiedy za Małym St. Angelo leży nierozpoznane Duże St. Angelo, które również trzeba będzie zdobyć, bo inaczej się nie utrzymamy?

2. Strzelcy muszą iść rojem koło swego dowódcy — ta piękna zasada się kończy, kiedy wyróżni pierwszy pocisk i ludzie w ciemności rozlecają się za skałki.

3. Przebiegi muszą być małe — ale cóż począć, kiedy amfiteatr jest obszerny?

4. Żołnierz nie może być zbyt obciążony — a któż mu przy zagrządzającym ogniu artyleryjskim doniesie amunicję?

*) Fragmenty rozdziałów 11 i 12 drugiego tomu przygotowywanej do druku książki Melchiora Wańkowięza p. t. „Bitwa o Monte Cassino”.

No, trudno — i tym razem łatwo nie będzie. Ale czołgi już mamy wwindowane, Anglicy obesзли, Niemcy jeden baon musieli przed nami ująć.

A grunt — że poznaliśmy ich taktykę i nie będziemy się zatrzymywać przy czyszczeniu schronów.

16 maja po południu już wiadomo, że uderzamy wkrótce. O g. 18 mjr. St. robi ostatnią odprawę. Dowódcy kompanii wracają do swoich szczelin z nakazem, aby wszystkim wolnym od służby żołnierzom kazali spać.

Żołnierze wiedzą co to znaczy i kapelan batalionu, ks. Sławik (syn górnika, absolwent przedwojennej podchorążówki piechoty, którego wojna złapała na jakimś zjeździe młodzieży w Stanach Zjednoczonych*), przechadzając się z penitentami po osłoniętym od strzałów kawałku Drogi Saperów — spowiada. Ksiądz kapelan ma na piersiach puszkę z komuni kantami. Kiedy w Polsce szedł do chorego, poprzedzał go chłopak z dzwonkiem i ludzie kłękali. W te straszne czasy Bóg, który się urodził w stajence, zeszedł do puszek schowanej pod mundurem.

Ks. Sławik pod mundurem chowa torbę, zawieszoną na piersi; są w niej ponotowane nazwiska tych, którym udzielił pociechy religijnej przed bitwą. Każdy go bowiem prosi, aby powiadomił rodzinę w Kraju, że umarł, pojednany z Bogiem. Ksiądz więc umyślił uwiesić sobie te adresy na piersi: jeśli polegnie, to juścić znajdą i przekażą sztafetą dobrej woli — aż pod każdy próg w Polsce.

Ppor. P. nie może zasnąć, jak większość żołnierzy. Wykrwawili się w tych ciągłych patrolach i na pozycjach bardzo; ciągły szum własnych pocisków, ciągłe wyczekiwanie, że padnie pocisk nieprzyjacielski. Chłód, brak pleców, bezsenność...

Ppor. P. pyta ppor. Ch. ile czasu jeszcze wytrzyma?

Ppor. Ch. sądzi, że idwa dni.

*) Przyjechał do naszych wojsk na Środkowy Wschód z Ameryki wraz z ks. Targoszem, który poległ jako kapelan 3-go baonu w akcji nad Adriatykiem.

— Ja już nie wiem, czy wytrzymam dwie godziny — mówi z rozdrażnieniem ppor. P.

Kpt. Ł., dowódca jednej z kompanii, który do połowy listopada 1939 r. prowadził partyzantkę w Polsce, poczem swoją grupę piątkami przeprawił na Węgry, zalegił w pełnym wyekwipowaniu w szczelinie i zasnął.

Tymczasem w pół godzinie po odprawie, staczając się, szezeblami rozkazodawstwa, spada na mjr. St. rozkaz Korpusu, że ponieważ nieprzyjaciół może się oderwać, należy być z nim w nieprzerwanym kontakcie energicznego patrolowania.

St. staje nad szczeliną:

— Już...

— Natrzeć całą kompanią na północną (mniej rozpoznaną p. m.) część Widma. Wespierać dywizję artylerii. Wybić obsady bunkrów i zostać na miejscu. W razie powodzenia — wepchnąć się jeszcze dwie kompanie batalionu.

— Podporucznik P. Pański pluton rusza pierwszy. Artyleria nasza — już gra. I o g. 18 m. 45, w 15 minut po otrzymaniu rozkazu przez dowódcę baonu, żołnierze 1-go plutonu kompanii pod dowództwem ppor. P. ruszają żołnierz za żołnierzem co 6-7 kroków; ruszają z ulgą, bo na razie nic nie wydaje im się tak straszne, jak tu siedzieć i czekać, że ich pociski nieprzyjacielskie wykruszą.

Nim doszli na podstawę wyjściową, kpt. Ł. obliczył, że na nieduże stosunkowo przedpole padło około 200 pocisków artylerii własnej — chyba większość min eksplodowała? Kpt. Ł. pamięta doświadczenia tamtego natarcia — kiedy na wąskich otaśmowanych ścieżkach stłoczone kompanie były masakrowane — także poniechać rozminowywania, iść tyralerką — szeroko rozrzuconymi grupami.

Tak, jak było umówione: pierwszy gwizd — przygotowanie do natarcia i drugi — „ruszać!”

Ruszyli szybko — i zaraz na minach padło trzech. Dziewiętnastolatka Soko-

łowskiego wznoszą na dwa metry w górę.

Niosą rannego chłopaka w dół, mijają mjr. St., który sprawia właśnie drugą kompanię. Sokołowski (który wygląda na siedemnastolatka, ale „buja”, że ma dwadzieścia dwa lata), ocieka krwią, ale coś to wszystko wobec faktu, że niosą go jako pierwszego rannego żołnierza, że sam pan major pochyla się nad jego noszami.

Tamci tymczasem ruszyli z podstawy wyjściowej jednym skokiem. Na wysokość czołowego plutonu ppor. P. na lewo doszedł z pluton pchor. J.

Oba plutony idą tak szybko, że ich nie zdążył złapać ogień niemieckiej artylerii, że właśnie idący z tyłu w odwodzie pluton ppor. B. ma większe straty. Ppor. B. został ciężko ranny 13 maja, plutonem więc dowodzi plutonowy Szews. Rażony ciężko w bok i rękę, leży tuż przy minie niemieckiej; mijający żołnierz zaczepia drut przeprowadzony od miny — wybuch jej odwała mu głowę.

Plutony P. i J. przeskoczyły 70-metrową przestrzeń od krzaków do bunkrów niemieckich w kilkanaście sekund, doganiając ogień własnej artylerii, sześciu czer-

wonými rakietami prosząc o wydłużenie ognia.

Przed drugim generalnym natarciem

— Widmo zdobyte i utrzymane

Niemcy robią próbę odbicia Widma. Baon musi je powstrzymać. Dowódca 3-ej kompanii tego baonu nie ma ani jednego oficera, tylko na jednym z plutonów podchorążego. Wysła jednak oddział szturmowy i odpycha Niemców.

Ale główny atak idzie na stanowiska z kompanii. Początkowo we mgle i krzakach nie można było dojrzeć niemieckiej piechoty, tylko zbliżający się coraz bardziej ogień spandau'ów ostrzegał, że już blisko. Najgorętsze walki rozgorzały na odległości szturmowej — „doszło do tego, że stojąc naprzeciw siebie w odległości 20-30 metrów — cytuję za piśmiennym meldunkiem dowódcy kompanii ppor. B. — przez 10 minut cibrzucali się granatami i ogniem tomsonów i szmajserów, a żadna ze stron nie ustępowała. Sytuacja stawała się krytyczna, brakło granatów i amunicji. Moment jeszcze, obrona załamałaby się. Na szczęście Niem-



Ewakuacja rannych z Widma

Fot. F. Maliniak

cy nie wytrzymali, zaczęli się cofać i w tym momencie nadszedł z pomocą pluton 1-rej kompanii. Odwrót Niemców stał się zupełny, zostawili wielu zabitych i rannych”.

Poznali więc i Niemcy goręcz nacierania na obsadzone schrony. Chociaż na Widmie zostały ich kąśliwe niewypienione bunkry, przegrali bitwę o to wzgórze definitywnie.

Ale pozostawała — druga połowa amfiteatru. Małe St. Angelo, za nim Duże St. Angelo, na lewo od nich 575, na prawo — Passo Corno.

I znów — to oni będą siedzieć za ścianami skalnymi, a my — krwią broczyć.

Bo oto już żołnierze baonu, chłonną z gorączki bojowej — widzą idący przez ich pozycje inny lwowski batalion. Zaczyna się — drugie generalne natarcie.

Natarcie na duże S. Angelo

Kompania kpt. L., spływając z Małego St. Angela na prawo stopniem, zastąpionym od ognia z Dużego St. Angelo, obeszła jednak tymczasem Duże St. Angelo i rozpoczęła atakować jego bunkry od północy.

Strz. S. uszkadza jeden bunkier z Piata, zostaje ranny, uszkadza drugi (bunkry tu są tak duże, że nie można powiedzieć, że je zniszczył). Kiedy wystrzelał całą amunicję z Piata, chwytając elkaem i strzela z niego do szczeliny bunkra, z którego strzelają Niemcy. Zostaje ranny ponownie.

Bo Niemcy, dopuściwszy tak blisko, że poszczególni nasi żołnierze okazali się między ich stanowiskami, otwierają gwałtowny ogień. To już nie dwie linie żołnierzy walczą ze sobą, a wszyscy ze wszystkimi.

Strz. G. leży pod samym bunkrem — nie widzi go Niemiec. Ale i on nie widzi żadnego otworu w kupie kamieni, stanowiących bunkier. Wyczołguje się na wierzch bunkra. Jest tam mały otwór, przez który ledwo przecisnąć się granat. Odbezpiecza więc granat, wpycha go w otwór i szybkim kopnięciem obcasa wtłacza go do wnętrza bunkru. Umilkł jeszcze jeden niemiecki elkaem.

Ktoś obok przeraźliwym i coraz bardziej słabnącym głosem woła „Ratunku!” G. podskakuje pod sąsiedni bunkier. Rannego żołnierza ciągnie ręka w niemieckim mundurze w niewielki otwór schronu: ranny broni się ostatkiem sił. Seria z tom-



Pod San Angelo

Fot. W. Ostrowski

sona po ręce, granat do środka, a potem „kamyczków ze dwadzieścia sztuk” i przykamienowana, poraniona obsługa schronu zamilkła na zawsze.

Śmiertelnie blada, pokrwawiona głowa strz. K. podnosi się między bunkrami. Sierż. Pić *) rzuca się głową naprzód. wyciąga go.

*) Przypisek po bitwie: sierż. Pić poległ następnie w Apeninach.

— Postawcie choć elkaemy — krzyczy ppor. D. kto wyjrzy, w tego leć granaty i strzelają strzelcy wyborowi.

Ppor. D. sam ustawia jeden elkaem: — Pilnuj tego elkaemu — woła do swego wychowanka, szer. Macieja; chłopak szedł trop w trop za nim.

Ale Maciej nie odpowiada. Ppor. D. odwraca się — widzi, że Maciej leży zabity.

Melchior Wańkowicz

I d e a

Gdy przed z górą rokiem marszałek Smuts wypowiedział się jako zdecydowany przeciwnik natychmiastowego układu pokojowego tuż po zakończeniu działań wojennych, głosy oburzenia i niezrozumienia były echem dominującym jego wystąpienia. Dziś coraz częściej słyszy się głosy, że jedyna rzecz pewna w tej chwili to to, że po zakończeniu wojny z Niemcami nastąpi okres wojskowej ich okupacji, który potrwa może lat pięć, może dziesięć, może przez okres jednego pokolenia. Po niezawinionym przez nią wejściu Rosji Sowieckiej do obozu aliantów, założenia ideowe i polityczne tego obozu tak się skomplikowały, że dziś u końca wojny z Niemcami wszystko w tym obozie niepewne jest jutrzejszego dnia, wszystko otoczone mgłą nieprzeniknionej dla szarego człowieka zagadki.

Wejście Rosji Sowieckiej do obozu aliantów odebrało pierwotne znaczenie, a nawet wszelki sens najprostszym pojęciom już nie tylko uznawanym na początku wojny jako cele obozu narodów zjednoczonych, ale mających od wieków historii ludzkiej swe ustalone i zrozumiałe znaczenie.

Wejście Rosji Sowieckiej do obozu narodów zjednoczonych spowodowało głęboki kryzys moralny i ideowy wewnątrz obozu, kryzys, którego dna jeszcze nie widać. Przed rokiem 1941 choć siły narodów zjednoczonych były słabe, choć armie nieliczne, wiedział każdy żołnierz walczący w tym obozie o co walczy.

Niemcy odebrali Polakom wolność. Każde dziecko w Polsce wiedziało, że gdy Niemcy zostaną pokonani, a z zachodu przyjdzie żołnierz polski, czy jego sojusznik — żołnierz brytyjski, to ojciec zostanie uwolniony z więzienia, czy obozu, o ile tylko przeżyje tę wojnę, z mieszkania ich wyniosą się Niemcy, można będzie pojechać do brata, matki w sąsiednim powiecie, bez obawy rozstrzelania za takie „przestępstwo”.

I cóż stało się dziś? Przyszła armia „wyzwoliciela”. Ojca wywieziono na Sybir za to, że przy pomocy podziemnych organizacji uciekł z więzienia, na miejsce Niemców sprawowała się rodzina sowieckiego komandira, za przejazd z powiatu do powiatu bez zezwolenia N.K.W.D. grozi znowu kara śmierci.

To nie tylko dziecko zrozumie, że coś tu nie w porządku, nawet politycy najbardziej w wyszukiwaniu formułek wytrawni zaczynają rozumieć, że co innego znaczy „wolność” na wschód, a co innego na zachód od Łaby.

Rozkład ideowy

Dokonany przez samą obecność Rosji Sowieckiej w obozie alianckim rozkład ideowy tego obozu jest jak najbardziej na rękę celom polityki sowieckiej. O to właśnie chodzi, by przez zniszczenie, odebranie znaczenia najbardziej podstawowym wartościom naszego życia, pozbawić nas jedynej skutecznej prawdziwie broni w walce z niesionym do Europy w ślad za pancerzami czołgów bolszewickim materializmem.

I trzeba przyznać, że sukces odniesiony przez propagandę sowiecką jest niemały. Każdy z nas dziś zanim wymówi słowo „wolność” czy „demokracja” odczuwa jakiś wewnętrzny zażenowanie, jakiś lęk przed fałszywym tonem. W tym samym czasie radio i prasa sowiecka puchnie od „wolności”, „wyzwolenia”, „demokracji” i to „prawdziwej”.

Odebrano nam nasze największe wartości. W nasze umysły wszczepiono łańcuch wątpliwości, z którego trudno nam się wyplątać. Cóż z tego, że zaciskamy pięście, a twarz wykrzywia się nam w grymas bolesny, gdy z głośnika radiowego mówi do nas Moskwa o życiu wolnym i radosnym, o prawach człowieka, ba, nawet o szczęściu. Słabość nasza w obliczu moskiewskiego tupetu polega na tym, że utraciliśmy wiarę w treść pojęć wczoraj jeszcze świętych

i drogich, nie umiemy zdobyć się na przeciwstawienie pozytywnych wartości i idej zalewowej moskiewskiego kłamstwa.

Jeżeli tak jest w nas, którzyśmy przeszli przez piekło rewolucyjnej praktyki, jeżeli poczucie ideowej bezradności nie jest obce narodowi zagrożonemu bezpośrednią fizyczną likwidacją, to cóż dopiero mówić o szarym człowieku w Wielkiej Brytanii, czy Stanach Zjednoczonych, który moskiewską frazeologię może wziąć za dobrą monetę? Czy można się dziwić, że zaczadzony frazeologią ten i ów poczwierze nawet w sutannie westchnie: „Piękna teoria, praktyka tylko jeszcze na pewno błędy” i zastanawiać się zaczyna, czy też naprawdę przypadkiem ze wschodu nie idzie zbawienie.

Pozory siły

Poza rozkładem ideowym propaganda moskiewska świetnie posługuje się sugestią niepokonalnej siły Związku Sowieckiego.

Z najwyższym tupetem pomniejszając militarne osiągnięcia pozostałych aliantów, lekceważąc zupełnie i pomijając milczeniem uzyskaną pomoc materialną, polityka moskiewska otoczyła Związek Sowiecki nimbem niezwykłej siły, uprawnionej do dyktatu swej woli na całym nieomal świecie. Doszło do tego, że aż nadto często zapomina się, że Związek Sowiecki poniósł w tej wojnie jedne z najcięższych strat szczególnie w materiale ludzkim i, że chociażby wyczerpania jego ludzkich reśursów w żadnej mierze nie można porównać ze świeżością, mimo wielkich już ofiar, ludzkiego potencjału Stanów Zjednoczonych.

Szereg

Rozkład ideowy i nimb siły wytworzyły dookoła sowieckiej okupacji legendę wiecznotrwałości i wrażenie beznadziejności wszelkiego oporu. Skazane na ten sam los, co nasz Kraj narody z nami sąsiadujące często putrzę na nasz opór, jakby pomimo wszystko i przeciw wszystkiemu, podziwiają, ale szepczą rozsądnie — szaleńcy, co robicie, komu się opieracie, cały świat przed nimi drży.

W tragiczny, rzeczywście na pozór beznadziejny szereg ofiar sowieckiej okupacji ustawiły się narody Miedzymorza, narody zachodniej kultury pomiędzy morzami: Bałtykiem, Czarnym, Egejskim, Adriatykiem.

Najbardziej na wschodzie narody ukraiński i białoruski tak zniszczone przez 25-letnie ostatnie, że, zdawałoby się, już do niczego, prócz posłuszeństwa dla Moskwy niezdolne.

Jak wybawicieli, zwyczajnym naturalnym odruchem więźnia, któremu ktoś bramę więzienną otworzył, wielu z nich przywitało wojska niemieckie po to tylko, by się przekonać, że nie innego poza inną formą niewoli i ek-

sploatacja gospodarczą wojska te nie przyniosły. Jak na pośmiewisko nadomiar ich imię reprezentują w San Francisco Ukraińiec i Białorusin z imienia. I tylko w dalekich Stanach Zjednoczonych może prof. Czuby jak przed rokiem przy słynnej zmianie konstytucji ZSRR napisać w „Swobodzie”: „Co tu znaczy zagraniczna polityka, gdy w każdej chwili mogą przyjechać agenci GPU i zabrać Ukraińca nawet nie do ukraińskiego, a do rosyjskiego więzienia lub wywieźć, Bóg wie gdzie”. Lub ukraiński „Nowy Szlach” w Kanadzie omawiając oświadczenie Osóbki-Morawskiego może tylko westchnąć „chcielibyśmy, by naród polski zrozumiał i przekonał się, że tylko silna i niepodległa Ukraina będzie mogła stać się zaporą wobec gwałtów z Zachodu i Wschodu”.

Na północy państwa bałtyckie wcielone do ZSRR komedią plebisycytów, państwa, z których tysiące ich najlepszych patriotów musiało uciekać przed zbliżającymi się wojskami sowieckimi, czy przeprowadzić się przez Bałtyk na łódkach rybackich, by szukać bezpieczeństwa w Szwecji. I w ich imieniu przemówić może tylko od czasu do czasu głos ich narodowych emigracji.

Ukraina i Białoruś — republiki sowieckie od pokolenia, państwa bałtyckie — republiki sowieckie od 6 lat z przerwą wojenną, Polska, Czechy, Słowacja, Rumunia, Węgry, Bułgaria, Jugosławia — wszystko kandydaci na zaszczyt i konsekwencje sowieckiej republiki, wejścia w skład sowieckiej rodziniki dookoła starszego rosyjskiego bratczka.

Jutro

Dwa dziesiątki lat wolności pomiędzy jedną i drugą wojną światową, lata pijane wolnością, młodym życiem, niebezpiecznym nawet na jutrzejsze niebezpieczeństwa od złych sąsiadów, zostawiły wspomnienie prawdziwego rozwoju materialnego i duchowego, choć skrepowanego tyściem niedociągnięć i błędów.

Sześćdziesiąt lat wojny pozostawiło gorzkie zawodu liczenia na jakiegokolwiek siły obce, na jakiegokolwiek potencje spoza Miedzymorza, a szczególnie na któregośkolwiek z dwu zaborczych — wschodniego i zachodniego — sąsiadów.

Miesiące okupacji niosą zniszczenie i jedność cierpienia.

Jednakże ta salwa egzekucyjna wrogów ludu na Wileńszczyźnie, we Lwowie, w Siedmiogrodzie, w Dobruży. Jednakże wszystkim pozostała wolność... wysyłania listów dziękczynnych i hołdowniczych do ojca narodów i pryncjających świata całego.

Sowiecka machina śpieszy się. Choć front potrzebuje wagonów kolejowych, znajduje się transport dla masowych deportacji. Szybko na poziom tej samej nędzy sprowadza się wszy-

skich zarządzeniami walutowymi. W dalekim Londynie, czy w innej stolicy „do ludzi dobrej woli” apelują podpisy pod deklaracją Estończyków, Litwinów, Łotyszów, Polaków, Białorusinów, Ukraińców, Rumunów, Węgrów, Słowaków, Czechów, Serbów, Słowenów, Chorwatów, Bułgarów, Albańczyków.

Po jednej stronie słuszość, po drugiej chwilkowa przemoc.

Kto zwycięży?

Do zwycięstwa potrzeba Idei i siły. Siły dookoła Idei narosną. Z popiołów powstaną siły własne, dadzą się wykorzystać. Ale Idea jest nieodzowna. Nie samoobrona przed zagrożeniem egzystencji, a Idea twórcza i wielka, Idea konstruktywna, Idea jutra.

Czy trzeba jej szukać?

Nie, ona istnieje dookoła nas i w nas samych. Dojrzała, trzeba ją podjąć. Odebrano naszym narodom wolność. Nie tylko naszym narodom, ale każdej jednostce. Odebrano wolność myśli, którą usiłuje zastąpić podręcznik historii WKPb, odebrano wolność słowa, którą zastąpiono wolnością okłaskiwania do syta wiecowych rezolucyj. Wolność religii, którą zastępuje się pozorami wolności kultu...

Narody nasze — to narody o przewadze ludności wiejskiej, narody wolnych do wczoraj chłopów. Dziś nadaje się im resztki nierozparcelowanej w naszych krajach ziemi, nie pozwalając jej, jak w Polsce, zabudowywać, by jutro wpędzić wolnych chłopów Międzymorza w katorżny, kołchożny trud. By odebrać im jutro radość twórczej pracy przy własnym warsztacie, na własnym zagonie.

Idea naszą jest wolny człowiek.

Już wiemy, że „wolny człowiek” to nie frazes, wiemy jaka jest treść tego pojęcia, bośmy słyszeli pieśń fałszywą o człowieku, który „wolno oddycha”. Więcej wiemy już też, że nie masz tego wolnego człowieka i u kapitalistów. Wiemy już dziś, że istnieje, wszystko jedno umyślna, czy niezawiniona zмова materializmów kapitalistycznego i bolszewickiego, czy faszystowskiego. Wiedzą o tym już w każdym z naszych narodów. Nie robimy w tym względzie już pomyłek. Niech mówią dziś Ukraińcy. „Ukraiński Wisti” w Ameryce piszą swym ukraińskim

czytelnikom: „Komunizm — to azjatycka forma faszyzmu, a faszyzm to europejska forma komunizmu. Różnica pomiędzy komunizmem a faszyzmem jest taka, jak pomiędzy włamaniem i kradzieżą”.

Idea naszą jest wolny naród.

Żaden z naszych narodów na Międzymorzu dziś nie ma wolności.

Lecz nauczeni straszną lekcją wojny ostatniej chcemy też być siłą. Siłą dostateczną do oparcia się wrogom ze wschodu i z zachodu.

Dlatego naszą Ideą jest Wolne Międzymorze, związek wolnych narodów Międzymorza, związek państw wolnych na Międzymorzu!

Pozwala nam do tego dążyć, jak również do zerwania z dotychczasowymi związkami, nawet konstytucja Z.S.K.K. przewidująca swobodę wstępowania i występowania republik sowieckich ze Związku Sowieckiego.

Zachęcał nas kiedyś do tego premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill mówiąc 21 marca 1943: „Pozwólcie mi na tym miejscu zapytać, co byście sądzili o armii, złożonej wyłącznie z batalionów i brygad, któreby nigdy nie utworzyła większej organizacji w rodzaju korpusu. Taka armia wnet zostałaby rozbita. Wydaje mi się przeto w każdym razie rzeczą co najmniej zasługującą na cierpliwe studium idea, by obok wielkich mocarstw powstała pewna liczba grup państw względnie konfederacji, któreby nazewnątrz występowały przez swych wybranych przedstawicieli w ciele złożonym z przedstawicieli wielkich mocarstw i grup państw”.

Lecz nie chwilowy stan prawny, czy bezprawny, nie czyjaś zachęta, czy jej brak, a nasza własna potrzeba, wspólna dola, wspólne na przyszłość, parzucąca nam Ideą Międzymorza.

Za jej pielęgnowanie przez czas, gdy nasze narody mówić nie mogą same za siebie, za jej rozwinięcie jesteśmy odpowiedzialni my, których los zostawił na wolnej, choć obcej ziemi.

Jarosław Nagórski

Szlakami polskiej myśli

O wolność i siłę

Po pierwszej wielkiej wojnie 1914-18 r. ukazała się w odrodzonej Polsce broszurka Chołoniewskiego pt. „Duch Dziejów Polski”. Sławila ona wolnościowe tradycje narodu polskiego i jego wielką tolerancję. Była to książka odpowiadająca ówczesnym nastrojom i potrzebom chwili i wyrażała przy tym na-

dzieje pokładane przez społeczeństwo polskie w ideałach demokratycznych. Przeprowadzona później ściślejsza krytyka historyczna tej książki wykazała powierzchowność ujęcia rozpatrywanego zagadnienia i pewne niedokładności. Życie przeszło potem nad nią do porządku i dopiero podczas obecnej wojny 1939-

194? r. wydano ją ponownie na wychodźstwie. Tym razem nie wzbudziła już prawie żadnego oddźwięku w opinii publicznej.

Wsluchując się w nastroje nurtujące polską społeczność na emigracji w szóstym roku wojny i zapewne u progu nowej ery pokoju, odnosi się wrażenie, że analogiczną rolę zaspokojenia bieżących potrzeb czy tęsknot, co najmniej najczynniejszego odłamu naszego wychodźstwa, odegrałaby jakaś rozprawka pt. „Polskie tradycje idei silnej władzy”. Wielu bowiem sądzi, że spełnienie niezbędnego dla bytu niepodległej Polski postulatu siły nastąpić może tylko w wypadku zapewnienia państwu — poza odpowiednimi warunkami geopolitycznymi a więc przede wszystkim stosownymi granicami — silnej, skupionej, trwałej i jednolitej władzy wykonawczej i ustawodawczej, zabezpieczonej od zmiennych fluktuacji przekonań, interesów i wpływów mniej lub bardziej swobodnie wyrażanej opinii publicznej.

Wydaje się, że dwie tendencje — do słabości i do siły — luzują się na przemian, zależnie od tego, czy w ocenie naszej sytuacji narodowej przeważa poczucie zagrożenia, czy też poczucie bezpieczeństwa. Aby się przekonać o słuszności tej hipotezy, należałoby dokładnie rozpatrzyć całe nasze dzieje z tego specjalnego punktu widzenia. Nie może to być celem artykułu. Zresztą za przyczynę do tego właśnie zagadnienia uważać można rozprawę Jana Szuldrzyńskiego pt. „Dziejowa Idea Państwa Polskiego”. W niej bowiem na str. 29 autor pisze m in.:

„Zagadnienie silnej władzy rządowej, to było główne niedomaganie wewnętrzne Polski, to zagadnienie przez 200 lat wciąż aktualnego programu „Naprawy Rzeczypospolitej”, który od czasu Zygmunta Augusta nigdy nie został w pełni wykonany. Brakowi silnej władzy, która by stała na straży polskiej idei państwowej, należy przypisać główną przyczynę politycznego upadku Polski”.

A dalej na stronie 36 autor zauważa:

„U podstaw każdej organizacji państwowej są dwa istotne zagadnienia: zagadnienie wolności i siły. Te dwa bieguny... — są sobie często przeciwstawne. Gdy jest dużo wolności, nie ma często w państwie siły — i odwrotnie, silna organizacja pozbawia często swych obywateli wolności”.

Artykuł niniejszy na marginesie tego rodzaju rozważań zamierza tylko zwrócić uwagę na kilka przyczynków do poruszanej kwestii z niezbyt odległych czasów, w których sytuacja Polski była pod pewnymi względami analogiczna do obecnej. Przyczynki te są tym bardziej interesujące i nawet nie pozbawione pikanterii, że związane są z dziejami naszych stosunków ze Środkowym Wschodem, który przez tak długi czas był ostatnio naszą siedzibą. Związane są też z niektórymi osobami, które naogół uchodziły za dość dalekie od żywienia poglądów, czy przejawienia tendencji trudnych do pogodzenia z bardziej ortodoksyjną lub radykalną ideologią demokra-

tyczną. Poglądy Staszica, czy Kołłątaja na tę sprawę są może bardziej znane, natomiast co myślał, lub na czym pokadał swe nadzieje Józef Sułkowski, gen. Henryk Dembiński, czy Mickiewicz w związku z zagadnieniem silnej władzy w Polsce — to sprawa wcale nie spularyzowana...

Na taki nieustający nurt idei silnej władzy u czołowych przewodników polskiej myśli politycznej w Polsce w okresie porzobiorowym, wprowadziło zainteresowanie się osobą bohatera narodowego, najciślej związanego z obszarem, na którym Polakom przyzło tak długo żyć podczas obecnej wojny i gotować się w największej masie do roztrzygającej walki. Mowa tu o zmarłym w Kairze Józefie Sułkowskim. Niedostępność jego pism nie pozwala oprzeć się w rozważaniach obecnych na jego własnych wypowiedzeniach. Ale samo zaznajomienie się z głównymi rysami jego biografii pozwala snuć pewne wnioski w rozpatrywanym tu kierunku. *)

Młody arystokrata, zbuntowany bezceństwami w stosunku do swej ojczyzny, jakich jest świadkiem w swym dobrze urodzonym otoczeniu, przystaje do obozu rewolucyjnego i szala, wiedzą i dyplomacją stara się zdobyć jak największy kapitał autorytetu. Jednocześnie potrafi zjednać sobie posłuch u Napoleona, u wodza najpotężniejszego w swej epoce, a co najmniej — najbardziej dynamicznego ruchu polityczno-społecznego, Wielkiej Rewolucji Francuskiej, zapowiadającego wielką falę przemian w całej Europie, a z nimi nadzieje na odrodzenie niepodległej Polski.

Narzucił sobie twardą dyscyplinę osobistą, taje się w swej konsekwencji bezwzględny wobec siebie i wobec opinii otoczenia. Pokonywa nawet odruchy pewnej odrazy w stosunku do osoby swego wodza, wybranego dobrowolnie, który wówczas, gdy współpracował z nim Sułkowski, nosił w sobie zaródź najmocniejszej dyktatury, z jej wszystkimi błakami i cieniami. Polegając niemal wyłącznie na sobie, z minimalnym oparciem się o współrodaków i dążąc do opanowania swym wpływem największej, czy też najdynamiczniejszej potęgi współczesnej sobie, Sułkowski zmierza konsekwentnie do zrealizowania celu, jaki sobie postawił — wyzwolenia ojczyzny.

Samotne dźwiganie się na szczyty hierarchii wojskowej i politycznej świadczy, że Sułkowski świadomy był nie tylko celów i środków swej akcji, ale również i roli, jaką sobie przeznaczał na przyszłość, roli na pewno naczelnej w swym narodzie. Rolę tę chciałby niewątpliwie odegrać nie sprzeniewierzając się wielkim ideałom pracy dla całego narodu, a zwłaszcza dla tych warstw, które wtedy składały się na

*) Patrz również: Jan Jordan: „Od Sułkowskiego do... Tobruku” w Dodatku literacko-naukowym „Dziennika Żołnierza APW” Nr 50 z listopada 1943 r. oraz J. O-ski „Józef Sułkowski-nieznany, a jakże bliski nam bohater”- „W Drodze” nr 12 z dnia 16 września 1943 r.

pojęcie ludu. Te ideały były przecież w jego pierwszej młodości mocnym impulsem dla jego tak szybkich postępów w sławie, zaszczytach i zasługach, których nurt przerwany został zupełnie przypadkowo i w chwili najmniej oczekiwanej, w Kairze, na odległej od rodzinnego kraju ziemi afrykańskiej.

Czy w swej bezwzględnej konsekwencji, w dążeniu do puszczenia w ruch największych energii politycznych swej epoki na rzecz odrodzenia Rzeczypospolitej, „Jakobin”, obywatel Sulima Sułkowski, mający co najmniej prawo do tytułu hrabiowskiego, jeśli nie książęcego, oparłby się cesarzowi Napoleonowi, skoro słuchał wodza republikańskich Francuzów Bonapartego, to sprawa naszej domyślności i fantazji. Skoro nie cofnął się przed opuszczeniem kraju, przyjęciem obcego obywatelstwa i oddaniem się całą duszą sprawie, która wydawałaby się mogła niezwykle odległa od jego celów i zamierzeń — to zapewne nie wahałby się złączyć swej sprawy ze sprawą największego dyktatora w dziejach dotychczasowych świata, gdyby nie widział innej skutecznej drogi wiodącej go do mety. Drogi ich, tj. Sułkowskiego i Bonapartego, mogły się rozejść chyba tylko w wypadku, gdyby Polakowi przyszło objąć dziedzictwo po wielkim Korsykańinie. Ewentualność, o której za życia Sułkowskiego się już przebąkiwało. Jakimi torami potoczyłby się dzieje Europy i świata w tym wypadku — na ten temat wolno sobie tylko snuć własne rojenia.

W każdym razie nurt myśli o silnej władzy w Sułkowskim przebudzał się w okresie dziejów polskich, gdy świeża jeszcze klęska narodowa była kompletna, ale nadzieje na pożądane przemiany nie stracone i nie płonne. Gdy bezsilność zbiorową chciało się skompensować mocą wielkiej indywidualności. A gdy później i takiej indywidualności brakowało na widnokręgu, to przynajmniej radzić sobie chciano myślą o bezwzględnym działaniu mniej lub bardziej samowładnie rządzącego się organizmu ustrojowego.

Drugi przykład przebudzenia się tego samego nurtu myśli w postaci może mniej wybitnej, ale nie mniej symptomatycznej i niezaprzeczanej, bo popartej jej własnymi oświadczeniami, mamy w wypadku osoby generała Henryka Dembińskiego. *) W trzydzieści kilka lat po śmierci Sułkowskiego kraj przeżywa nowy kryzys, ważą się jego losy na zmiennych szalach walk podczas Powstania Listopadowego, był jego zagrożony, zmagania u kresu i w przeddzień fiaska. I oto co myśli jeden z synów epoki, którego bogata kariera była niewątpliwie oparta na pewnych jego wartościach osobistych i będąc jednocześnie wynikiem sprzyjających dla niego okoliczności:

„Proszę mi wybaczyć to wyrażenie, ale to nie czczymi słowami, choćby wyrażały najszczytniejsze idee, naprowadzi się ludzkość na drogę, która zapewni jej lepszą i trwałą przyszłość”. Tak pisał gen. Dembiński w liście z Aleksandrii dnia 26 lutego 1834 r. do wybitnego inżyniera francuskiego w Egipcie, Lamberta, sympatyka saint-simonistów — (Benis, t. II,

str. 43-46)). „Pozostaję przy swoim zdaniu, ciągnął Dembiński — że miecz należy zwalczać mieczem. Marzyć będę i szukać zawsze silnego człowieka, któremu dedykuję swe dzieło...” **) Pragnąłbym, aby posiadał silną pozycję socjalną i aby dzięki niej mógł zapobiegać zbyt wielkim wstrząsom. Gdy pod osłoną jego stanowiska poglądy jego staną się powszechnie znane, to myślę, że skupi on dookoła siebie wszystkich ludzi dobrej woli, nie zepsutych narodów. Jako dyktator światowy niechaj utworzy kongres, czyli radę złożoną z przedstawicieli wszystkich narodowości, wszystkich religii i doktryn polityczno-społecznych, radę, która zbadała treść moralną naszego stanowiska. Tam też potrzeby i skłonności każdego narodu byłyby wszechstronnie dyskutowane, uzgodnione i ujęte w prawa.

„Pragnąłbym nadto, aby ten człowiek — należał dalej Dembiński — był dość silny moralnie, aby mógł dokonać tego dzieła i potem powrócić do swych poprzednich zajęć, a ustalony porządek zostanie wówczas utrzymany. W wypadku zaś niepokojów, wywołanych na początku przez zadrażnione ambicje osobiste, serce i uczucia znakomitej większości przywołałyby go z powrotem, w razie potrzeby, do władzy dyktatorskiej. Ludzkość zaś raz oparłszy się na podstawach przez siebie wybranych, sama szybko, nie wątpię, pójdzie drogą, która w sposób pewny poprowadzi ją do dobrobytu materialnego, który nie byłby osiągalny bez poprawy moralnej, tym łatwiejszej wówczas do osiągnięcia, że wszelka korupcja przestałaby wtedy istnieć.

„Nie sądzę, aby pan uznał, że nie mam racji: mogę pana zapewnić, że mam wszelkie dane po temu, aby sądzić, że właśnie tą drogą pójdzie ludzkość, skoro i ja sam zamierzałem iść tą drogą w jedynej chwili mego życia, gdy dzięki różnym okolicznościom byłbym bliski posiadania władzy godnej poszanowania”.

„Cofnąłem się jednak — wyznaje Dembiński przed wydaniem zarządzeń***) bezwzględnych, które były niezbędne, abym został panem sytuacji i władcą. Nie chciałem bowiem kroczyć do wielkiego celu przez rozlew krwi, a przecież różnym okolicznościom byłem bliski posiadania władzy godnej poszanowania”.

*) Patrz również: Jan Jordan „Żołnierz pod znaku tragedii listopadowej” — „Dziennik Żołnierza APW” nr 66 z dnia 30 listopada 1943 r.

**) Przedmowa do gen. Dembińskiego „Mémoires sur ma campagne de Lithuanie” Strasbourg 1832.

***) Aluzja do nocy z 15 sierpnia 1831 r. po rozpoczęciu się zamieszek w Warszawie. Gen. Dembiński, który objął wtedy — na kilka dni — funkcje naczelnego wodza, myślał o zdławieniu zaburzeń siłą, ujęciu w swe ręce najwyższej władzy i ratowaniu kraju przez ogłoszenie dyktatury. (Przyp. Benisa).

konania tego, czego nigdy człowiek nie ośmielił się dokonać, napawa mnie nadzieją, iż Bóg pozwoli, że jeden z tych, którzy posiadają władzę, użyje jej do zrealizowania tego ogromnego dzieła, a pan ma zbyt dobry sąd o rzeczach, abym nie widział, jak krytyczny stan, w którym znajduje się ludzkość może ułatwić mu wykonanie swego zadania.

„Takie jest moje proroctwo — i jak pan wspomina w jednym ze swych dzieł „wszystkie proroctwa się spełniają bo wszystkie są prawdziwe”.

„Widzi pan, że pod tym względem winniśmy być zgodni.”

Podobne przekonania żywił i wypowiadał gen. Chrzanowski, (szef sztabu armii polskiej podczas Powstania Listopadowego), jak o tym można wnosić z jego listu do ks. Czartoryskiego, w którym wyraża obawy przed liberalizmem francuskim i dlatego przekładał starania o odbudowę Polski pod auspicjami angielskimi...*) „Uważał on, że Polska potrzebuje silnego rządu, aby doprowadzić do zjednoczenia się dawnych stronnictw, do podniesienia się poziomu obyczajów, starcia śladów obcego panowania w Polsce, obdarzenia kraju silną organizacją wojskową i wypienienia schizmy (prawosławnej - przyp. red).

Gen. Dembiński ze swymi wyobrażeniami, o których dowiadujemy się z przytoczonego wyżej listu, szukał takiego opatrnościowego człowieka i w Egipcie i upatrywać go mógł w Mahomecie Alim, ówczesnym władcy kraju dawnych faraonów. Ale co może jeszcze bardziej niespodziewane, to fakt, że w tym samym kierunku szły myśli tego, którego możemy uważać za „uosobienie polskości” — Adama Mickiewicza. Oto co w związku z misją Dembińskiego w Egipcie, choć sam należał do przeciwnego obozu politycznego, aniżeli emisariusz ks. Czartoryskiego, pisał nasz wieszcz w „Pielgrzymie Polskim” z dnia 12 kwietnia 1833 r. pt. „Co nam wróżą wydarzenia na wschodzie”...**)

Istnieją obecnie tylko dwie partie (w Europie): pierwsza, kierowana przez Mikołaja (I) i druga, która nie ma jeszcze oficjalnego przedstawicielstwa, uznanego formalnie i uzbrojonego. Mikołaj realizuje oryginalny system polityczny, dostosowany do biegu wydarzeń i trwały. Ludy zaś przygotowują się do obrony. Monarchowie zaś znajdują się w fałszywej i dziwnej sytuacji, ustanawiając w Europie coś pośredniego między caryzmem i wolnością. Chcieliby pokazać swym ludom, że potrafią czegoś dokonać, ale ludy te domagają się wielkich i decydujących czynów, postępowych zmian na lepsze, do czego monarchowie czują się niezdolni.” — Tak pisze Mickiewicz, cytowany przez Benisa (t. I str. 100-101), w tłumaczeniu francuskim, z którego odtwarzamy tu tekst polski.

Przechodząc do sprawy wschodniej, wielki nasz poeta dochodzi do następujących znamienitych wniosków:

„W całej tej kwestii wschodniej jest tylko jeden element niezanny, którego planów nie można odgadnąć. To Mahomed Ali. Na szczęście dla niego i dla nas nie jest on ani „kon-

stytucjonalistą”, ani doktrynerem, ani konwencjonalnym republikańcem na sposób amerykański. Jest po prostu Muzułmaninem, Egipcjaninem i dąży do odzyskania dziedzictwa Mahometa. Ten człowiek może mieć zdrowy sąd, co obecnie jest rzeczą tak rzadką w Europie. Dowiódł tego zresztą. Ah, gdybyśmy mieli a czele armii naszych, podczas ostatniej wojny (1831) paszę, który szedłby stale naprzód, nie myśląc o rokowaniach.

„To też nadzieje swoje możemy tylko opierać na osobistym charakterze Paszy. Niech sądzi o tym ten, kto go zna.” (Benis, t. I str. 102-103).

Wieszcz nasz szuka rady i lekaswa na nasze braki i potrzeby daleko od kraju i nie na zachodzie, lecz na wschodzie, dziś powiedzielibyśmy — na Środkowym Wschodzie. Jeśli i oprawa przyjąć ma nie od samego władcy wschodniego, to przynajmniej płynąć by mogła z naśladowania go. Pomimo, że Mickiewicz nie mógł sobie robić złudzeń co do tego, jaki jest typ siły wschodniego władcy, choćby nim był człowiek tak stosunkowo postępowy na swoje czasy jak Mahomed Ali, pogromca Mameluków. Zaiste wielka musi być tęsknota i potrzeba silnej władzy, żeby jej wzorów szukać tak daleko. Dziś nie trzeba by sięgać tak daleko po przykłady...

Nurt tej tradycyjnej — rzecz już chyba można — tęsknoty za silną władzą odżył w osobie Traugutta w przełomowych dniach Powstania Styczniowego. Jak kusił on Piłsudskiego i jak Wielki Marszałek z nim się borykał, walczył i jemu chwilami ulegał, to są dzieje zbyt świeże i zbyt dobrze znane, by trzeba było się tu w tym przyczynkowym szkicu nad nimi rozwodzić. Ograniczamy się do zanotowania tych faktów, nie wdając się w ich bardziej szczegółowe roztrząsanie. Ich wymowa ujawnia przede wszystkim skrupuły występujące ilekroć przy stosowaniu drastycznych zarządzeń, nierozłącznie związanych z tym rodzajem władzy, zachodzi konflikt między motywami moralnymi i względami czysto taktycznymi. W naszej sytuacji też bardziej niż kiedykolwiek odczuwana jest potrzeba tych dobrodziejstw, jakie przynieść może szczęśliwe zrealizowanie idei silnej władzy, ale mniej niż kiedykolwiek możemy znaleźć w otaczającej nas rzeczywistości międzynarodowej zachęcających przykładów praktycznego realizowania tej idei w życiu politycznym. Polskie tradycje w tym względzie obracają się naogół w dziedzinie idei, posiadają więc wartość wychowawczych hamulec przed wicherzeniami nieokiełzanej swawoli.

On

*)... List gen. Chrzanowskiego do ks. Czartoryskiego z dnia 1 września 1832 r. z Chalons sur Marne. Patrz Benis t. I str. 3.

**)... O pierwszym numerze tego pisma wydawanego przez Mickiewicza, kierownik polskiej misji dyplomatycznej przy rządzie francuskim, czyli nasz nieoficjalny ambasador Ludwik Plater - powiedział: „Co za kwintesencja szaleństwa i niedorzeczności”. (Benis, t. I str. 96).

Elegia o żołnierzu-tułaczu

*... „Idź, gdzie nogi poniosą, dokąd przez morskie zwały
Wiatr z północy cię wezwie, lub żar afrykański zawoła...*

*(Ire, pedes quoquumque ferent, quoquumque per undas
Notus vocabit, aut protervus Africus...)*

HORACY

Idź, gdzie nogi poniosą. Gdy wiatr z północy zawieje
I oczy przesłoni bólem i śniegiem sypnie ci w twarz —
Idź, po świecie obnosić swój żal — stracone nadzieje
I sławę dumną zdeptaną — porwany, żołnierski płaszcz.

W miast zgrzytających kłębach mroczne czekają tawerny,
Gdzie noc, deszcz i muzyka ludzkim ci głosem zapłaczą.
Tam utopisz najłatwiej wspomnienia — ból śmiertelny
Alkoholyczną, gorzką, nieugaszoną rozpaczą.

Przyjdą z błot San Dominga, sprzedani w gruzach Werony,
Zaprzepaszczeni na lądach, zgubieni na szlakach morskich,
Wszyscy zejda się znowu. Hej, towarzysze broni! —
Piosnkę starą zanućmy: ... „marsz, marsz, z ziemi włoskiej” ..

Taki jest wyrok świata. Nieść obraz ojczystej ziemi
Pod powiekami marzeń, zasnuty mgłą nostalgii,
Po cudzych krajach, morzach, z rękami bezsilnymi.
Zamknięto słowem gromkim żołnierskiej piosenki wargi.

Wszystko w tej wojnie już było. Pieśń uniesień gorących
I gniew idący naprzeciw kłamstwu, przemocy i zdradzie,
Szept pacierza przed śmiercią i okrzyk — krew bluzgająca.
W tej wojnie na gruzach marzeń jedyny padł przyjaciel.

Idź, gdzie nogi poniosą. Niech serce stężeje w kamień.
Krew jest sieją głęboką i Boże znaczą ją losy.
To jest twój w ziemię rzucony nieubłagany testament,
Nad którym wszędzie kiedyś rewolucyjne kłosa.

Jan Olechowski

Zaborczość moskiewska i imperializm rosyjski

Nieposkromiona zaborczość, przeradzająca się z biegiem czasu w świadomy i bezwzględny imperializm, stanowi cechę charakterystyczną dziejów rosyjskich.

Już w roku 1170 Andrzej Bogolubski, syn Jerzego Dołgorukiego, twórcy księstwa moskiewskiego (z początkową stolicą we Włodzimierzu nad Kłazmą), uderzył na Nowogród Wielki. Miasto to przodowało ówczesnej Rusi pod względem kulturalnym i gospodarczym — powód wystarczający dla próby zawładnięcia jego bogactwami i skarbami. Bogolubski został jednak odparty z dotkliwymi dla siebie stratami. Oceniając właściwie znaczenie likwidacji najazdu Andrzeja, Nowogrodzianie uznali dzień zwycięstwa — 27 listopada — za swoje święto narodowe.

Ciężkie jarzmo tatarskie, jakie po bitwie nad rzeką Kałką (1223) poczęło kolejno spadać na poszczególne księstwa ruskie, przytłumiło zrazu zaborcze tendencje moskiewskie. Było to jednak zjawisko pozorne, gdyż w rzeczywistości książęta Moskwy wykorzystali lata mongolskiej niewoli na wzbogacenie swych metod politycznych wschodnią przebiegłością, dwulicowością i okrucieństwem. W tej właśnie epoce zaczęła się ustalać typowa i niezmienna zasada moskiewska — służalczej uległości wobec silnego i całkowitej bezwzględności w stosunku do słabszego.

Wypełniając bez najmniejszych sprzeciwów wszystkie żądania chanów tatarskich, książęta moskiewscy dopięli tego, że zostało im powierzone zbieranie u władców ruskich tak zwanego Jarłyku, to jest trybutu pieniężnego, jaki pokonani musieli składać swoim pogańskim zwycięzcom. W wykonywaniu tego „zaszczytnego” przywileju Moskwa niejednokrotnie przelewała szczerdnie krew ruską, bądź to występując samodzielnie z rozkazu tatarskiego, bądź to towarzysząc pokornie, karnym ekspedycjom chanowym.

Bardzo gorliwie wychwalany przez dzisiejszą historiografię sowiecką Iwan Kalita (1325-1341), „zbieracz ziemi ruskiej”, tak ulegle wykonywał nakazy tatarskie, że osiągnął całkowity monopol na pobieranie jarłyku oraz zezwolenie na tytułowanie się wielkim księciem moskiewskim. On to pierwszy rozpoczął na szerzą skalę przymusowe przenoszenie ludności z jednych terenów na drugie, co np. Mała Encyklopedia Sowiecka (tom X, str. 35) pięknie nazywa „przesiedlaniem ruskich jeńców, wykupionych przez siebie, (tj. przez Iwana) u Tatarów, na ziemie moskiewskie”.

Z końcem wieku XIV posuwające się stopniowo osłabienie państwa mongolskiego wywołało oczywiście reakcję u następców Iwana Kality, którego wnuk Dymitr w roku 1380 w bitwie kulikowskiej nad Donem rozbił wojska tatarskie. Ostateczne jednak uwolnienie się od zależności chanowskiej nastąpiło dopiero za Iwana III (1462-1505).

Ponieważ wtedy właśnie Turcja po zdobyciu Konstantynopola (1453) stała o szczytu potęgi, Iwan III, rozumiejąc, iż sułtan w ogóle nie liczy się z wielkim księstwem moskiewskim, poślubił księżniczkę Zofię z rodziny dawnych władców Bizancjum Paleologów, by w ten sposób zdobyć dla swoich następców tytuł do występowania o miasto i... cieśniny (1472). Umiejętności przewidywania politycznego nie można, zdaje się, zaprzeczyć całkowicie w tym wypadku władcy, który zresztą równocześnie ogłosił się carem Wszechrusi. Ten sukces polityczny szedł w parze ze zdobyczami terytorialnymi: Nowogród (1478), Twer (dzisiejszy Kalinin), Rostów. Jarosław dostały się kolejno pod władzę carską.

Jednak nie tylko te cele miał przed oczyma i realizował mąż Zofii Paleolog. Nie zaniedbał on również nawiązania przyjaznych pozornie stosunków z mo-

narchią polsko-litewską, wydając swą córkę za Aleksandra Jagiellończyka. Jakie były istotne cele tego dosyć niespodziewanego posunięcia, to najlepiej ujmuje następujący ustęp z listu, jaki carówna Helena pisała z Polski do swego ojca: „Wiesz, coś mi dał w posagu: mąż mój wziął mnie prawie z łaski, otoczył obfitością, uszanowaniem, miłością. Poddani moi spodziewali się, że im przywożę pokój, miłość, przymierze, pomoc przeciwko pogaństwu, a oto posagiem moim morderstwa, łupiestwa, gwałty, przelew krwi chrześcijańskiej, wdowieństwo, sieroctwo, niewola, płacz, jęki... Wysłałeś mnie tutaj po to tylko, aby ująć w twe sieci i ujarzmić zwiedziony naród”. Podstępne zagarnięcie Smoleńska (1514) przez Wasyła III, następcę Iwana, stało się dosadnym potwierdzeniem słów Heleny.

Słynny Iwan IV Groźny (1533-1584) kroczył konsekwentnie szlakami, wskazanymi przez poprzedników (wzbogacając jednak repertuar środków terroru powołaniem do życia specjalnej straży przybocznej, t. zw. opryczyny (1565), niepodlegającej zupełnie prawom i ustawom państwowym).

Na lata rządów Iwana wypadło zagarnięcie chanatu kazańskiego i astrachańskiego oraz „przyłączenie” Syberii zachodniej po zwycięskim, nadspodziewanie udanym, pochodzie Jermaka.

Mniej powodzenia sprzyjało Groźnemu na zachodzie, gdzie podjął on walkę z Zygmuntem Augustem, pragnąc zdobyć dla Moskwy wyjście na morze Bałtyckie. Początkowe bowiem powodzenia zostały przekreślone sukcesami wypraw Stefana Batorego. Widząc poważne zagrożenie swego państwa, uciekł się car do wyzyskania charakterystycznej już i wtedy ławo- wierności Europy wobec obietnic Moskwy: przyrzeczenie przyjęcia wiary katolickiej spowodowało pośrednictwo Rzymu i w jego wyniku rozejm w Jamie Zapolskim (1582). Ocalony w ten sposób Iwan cynicznie odmówił spełnienia poczynionych przyrzeczeń, powołując się m.in. na tę okoliczność, że ich nie składał na piśmie. Z wielkiem natomiasz zapalem oddał się mordowaniu (niejednokrotnie własnoręcznemu) wracających z niewoli polskiej jeńców. Ciekawe, że nie powodowało to

utraty przydomku „kochanego i dobrotliwego ojca”, jakim go darzyli nadworni bojarowie i sterroryzowana przez opryczynę ludność.

Dynastia Romanowych, która, po walkach wewnętrznych z okresu t. zw. wielkiej smuty, od roku 1613 usadowiła się na tronie carskim, prowadziła dalej podbój plemion syberyjskich, a w stosunku do słabnącej Polski stosowała politykę maskowanego wtrącania się w wewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej. Wystarczy przypomnieć lata buntu Chmielnickiego.

Najwybitniejszym przedstawicielem rodu Romanowych był Piotr Wielki (1689-1725), który dawne carstwo moskiewskie przekształcił w Imperium Wszechrosji, przybierając tytuł Imperatora i wznosząc — na trupach tysięcy przymuszonych do spędzonych robotników nową stolicę — Petersburg.

Przez zwycięską Wojnę Północną, w której pokonał przede wszystkim szwedzkiego Karola XII, car Piotr, łaskawie oceniany przez samego Stalina (np. por. Zagadnienia leninizmu, IX. wyd., str. 359) dobił się do pożądanego już przez Groźnego morza Bałtyckiego. Dla pochodów barbarzyństwa na zachód warunki układały się więc coraz pomyślniej — zwłaszcza wobec stale pogarszającej się sytuacji wewnętrznej w Polsce. Problemowi temu nowokreowany imperator rosyjski poświęcał dużo uwagi. Jakkolwiek w toku zmiennych kolei Wojny Północnej zapewnił on sobie decydujący wpływ na sprawy polskie, podporządkowując całkowicie Augusta II Sasa i terroryzując wojskiem rosyjskim posłów sejmowych (Sejm Niemy r. 1717), obawiał się jednak ciągle otrząśnięcia się Rzeczypospolitej z marazmu epoki saskiej i nieuniknionego w takim wypadku konfliktu zbrojnego. Dlatego też w swoim — może zresztą apokryficznym — testamencie tak ujmował myśli, którymi niewątpliwie dzielił się ze swymi zaufanymi: „Polskę musimy zniszczyć, podtrzymując tam nieład i niesnaski. Ludzi wpływowych trzeba pozyskiwać pieniędzmi, sejm kupować, aby mieć wpływ na wybór króla. Musimy tam zyskiwać stronników, opiekować się nimi. Posyłać wojsko i trzymać je tam dopóty, dopóki się nie znajdzie sposobność pozostawienia go tam na zawsze.

Jeżeli sąsiednie państwa będą robiły trudności, to tymczasem należy je zaspokoić podziałem, póki nie będziemy mogli odebrać im tego, cośmy ustąpili”.

I wreszcie wspomnieć trzeba, że w pomysłnej wojnie z Persją-Rosją Piotrowa usadowiła się na zachodnim i południowym wybrzeżu (m. Kaspijskiego) oraz, że z rozkazu carskiego rozpoczęto badanie dróg wiodących do Indyj.

Najdoskonalszą wykonawczynią planów i zaleceń Piotra Wielkiego okazała się Niemka z pochodzenia, „Semiramida północy”, jak ją nazywali hojnie opłacani filozofowie Europy zach., Katarzyna II (1762-1796). Ona to wraz z Fryderykiem Wielkim doprowadziła do pierwszego rozbioru Polski (1772), wykańczając następnie to zbrodnicze dzieło ćwiartowania odradzającego się narodu w r. 1793 i 1795, kiedy triumfująco ogłosiła, że Polska przestała istnieć „na zawsze”. Pamiętać należy, iż podobne twierdzenie wygłosili we wrześniu 1939 r. komisarz Mołotow i min. v. Ribbentrop, podpisując w Moskwie niemiecko-sowiecką deklarację przyjaźni.

Przede wszystkim była jednak Katarzyna pochłonięta problemem walki z Turcją, mniemając, że nadeszła wreszcie stosowna chwila do realizowania bizantyjskich pretensyj Iwana III. W wyniku dwóch zwycięskich wojen ze słabnącą gwałtownie potęgą sułtańską — brzegi morza Czarnego i półw. Krymski znalazły się pod panowaniem rosyjskim. W wojnach tureckich, szczególnie w drugiej, wyróżnił się Aleksander Suworow, późniejszy sprawca krwawej rzezi Pragi.

Równie ważnym, jak zdobycze terytorialne, był fakt, że pokonany sułtan musiał zgodzić się na przejazd rosyjskich okrętów przez cieśniny dardaneelskie i biernie przyglądać się pojawieniu flagi moskiewskiej na wodach morza Śródziemnego.

Niewątpliwe sukcesy Katarzyny w działaniach przeciwko państwu ottomańskiemu (jej najstarszy wnuk otrzymał imię Konstantego, jako ewentualny zdobywca Konstantynopola) spowodowały, iż wszyscy

niemal carowie wieku XIX-go (Aleksander I, Mikołaj I, Aleksander II) będą prowadzili działania wojenne przeciwko „choremu człowiekowi Europy”. Ponieważ jednak zagadnieniem tureckim z rozmaitych powodów zainteresowały się i inne mocarstwa, czego dowodem chociażby wojna krymska (1853-1856) lub kongres berliński (1878), całkowita realizacja planów carskich nie została przeprowadzona.

Natomiast na innych terenach imperiaлизм rosyjski osiągnął w ciągu wieku XIX dalsze poważne zdobycze. Za Pawła I (1796-1801) została „przyłączona” Gruzja. Aleksander I (1801-1825) po wojnie ze Szwecją opanował Finlandię, po wojnie z Turcją — Besarabię. Wojny Mikołaja I (1825-1855), prowadzone z Turcją i Persją, dały mu Armenię z Erywaniem, lewy brzeg Dunaju i wschodnie wybrzeże morza Czarnego; walki z góralami Kaukazu skończyły się klęską tych ostatnich już za rządów Aleksandra II (1855-1881). Podbój całej Azji Środkowej — to panowanie Aleksandra II i Aleksandra III (1881-1894).

Stały, nigdy nieprzytłumiony duch zabobroczności, charakteryzujący kolejno księstwo Moskwy, carstwo Moskiewskie, imperium rosyjskie i Związek Sowiecki, musiał z biegiem czasu wywołać obawy i zaniepokojenie Europy.

Znakomity filozof rosyjski Sołowiew tak o tym pisze: „Europa z obawą i niechęcią spogląda na nas, ponieważ niewyraźna i zagadkowa jest żywiołowa moc narodu rosyjskiego, — jego siły duchowe i cywilizacyjne są lichy, a natomiast rozcznienia są wyraźne, określone, wielkie.

W Europie donośnie rozlega się wrzask naszego nacjonalizmu, pragnącego zniszczyć Turcję, zniszczyć Austrię, pobić Niemcy, zabrać Konstantynopol, a jeśli się uda, to i Indie. A gdy nas zapytują, czym my, wszystko to zabrawszy, obdarzymy ludzkość, to możemy tylko milczeć, albo gadać bezsensowne frazesy”...

Paweł de Laval

„WŁADZA RADZIECKA POCHODZI OD BOGA“?

Wszystkie ostatnie filmy sowieckie, snute na tle wojny sowiecko-niemieckiej, posiadają — przynajmniej jako epizodyczne wstawki — sceny prześladowania rosyjskiej cerkwi przez Niemców, a obrony tej cerkwi przez ludność, ba! — więcej — przez władze sowieckie.

Oglądałem ostatnio jeden z takich filmów: „Kompania „P””. Są to dzieje jednego z oddziałów partyzanckich. Ludność z płonących domów wynosi ikony, procesje obnoszą je uroczyste, dowódca partyzantów ciągle naznacza się Krzyżem Świętym przed wyjściem do akcji, gdy ginie któryś z partyzantów — mówi: „Bóg tak chce”... To na eksport. Dla naiwnego widza poza granicami Rosji. Dla widza sowieckiego są inne sceny. Reżyser pokazał otoczonych nienawiścią bohaterów filmu i widzów kinowych Niemców w ten sposób, że wychodzą oni zawsze zza krzyży, cerkiewnych czy cmentarnych. Sztuczkami filmowymi osiąga się pożądaną efekt — krzyż jest na ekranie nieodłącznym towarzyszem Niemców, jest jak gdyby ich symbolem.

Fakt ten doskonale charakteryzuje stosunek oficjalnych czynników sowieckich do cerkwi prawosławnej w Rosji. Wewnątrz państwa jest ona o tyle tylko tolerowana, o ile jest potrzebna dla propagandy zewnętrznej. Na zewnątrz stwarza się pozory wolności religijnej wewnątrz państwa.

Patriarchat moskiewski wydał niedawno broszurę, drukowaną w wielu językach (wydanie w języku polskim — 4.100 egz.), przeznaczoną tym samym na eksport. Ukazała się ona pod redakcją „Mikołaja, metropolity kijowskiego i halickiego”. Wydrukowała tę broszurę p.t. „Rosyjska cerkiew prawosławna a wojna ojczyźniana” drukarnia „Iskra rewolucji”.

Naiwny czytelnik, nie znający Rosji Sowieckiej, gotów jest — po przeczytaniu jej — uwierzyć w religijną tolerancję Rosji. Dla nas — pozostaje tylko przetrzeć ze zdumienia oczy już po przeczytaniu

kilku pierwszych stron wstępu. „Kiedy naród rosyjski wyłonił swoją, ludową, sowiecką władzę, Kościół (czyli rosyjska cerkiew prawosławna — przyp. mój) wyraźnie oświadczył, że stanowiąc jedną całość z narodem, nie może nie uznać z całego serca i z całej duszy władzy radzieckiej, jako ustanowionej przez Boga i rzeczywistej władzy narodowej i wezwał wszystkich wiernych, by szczerze we wszystkim podporządkowali się nowej władzy i współpracowali z nią dla wspólnego dobra narodu”.

Dalej „metropolita kijowski i halicki” rozpatrując położenie cerkwi w Rosji zauważa, że za rządów carskich była ona w służbie u państwa, a teraz jest wyzwolona, że obecnie dobrobyt cerkwi jest wysoki, bo zależy — słuchajcie, słuchajcie — od dobrobytu wiernych. Należałoby tu chyba tylko wyrazić współczucie biednej cerkwi... Ale czytamy dalej. Duchownych emigrantów nazywa on „burżuazją kościelną”, a o prześladowaniach cerkwi nie pisze inaczej, jak „prześladowania” — w cudzysłowie. Mają one być tylko i wyłącznie wytworem chorobliwej, bo antysowiecko nastawionej wyobraźni wrogów ludu, „kościelnych burżujów”. Klaruje on czytelnikowi, że to nie walka z cerkwią miała przez cały czas miejsce w Rosji. To następował powrót do czasów ewangelicznych, apostoelskich, a przekonał się o tym metropolita Mikołaj „czytając naukę Chrystusa, listy apostoelskie Pawła i żywot Jana Złotoustego”. „Tylko elementy wrogie szerzyły pogłoski, jakoby Kościół nie korzystał z wolności w swym życiu wewnętrznym”.

„Wierny sługa Chrystusa Mikołaj” cieszy się, że „usunięte zostały wszystkie przeszkody, które w sztuczny sposób zatrzymywały ludzi w łonie cerkwi”...

Raz tylko jeden na przestrzeni 32 stron „mantwi się” metropolita, że konstytucja sowiecka „zezwała” na propagandę antyreligijną. Ale tuż obok kłamie: „Równocześnie należy stwierdzić zupełnie

obiektywnie, że Konstytucja, gwarantująca całkowitą wolność wyznawania kultu religijnego, absolutnie w niczym nie krępuje życia religijnego wiernych".

A więc nie było walki z cerkwia, nie było plugawienia przedmiotów kultu religijnego, nie było oficjalnego antyreligijnego wychowania. Były tylko procesy osób duchownych, ponieważ „posługując się sutanną i chorągwią kościelną prowadzili robotę antysowiecką”, robotę przeciw władzy, która „pochodzi od Boga”. A więc kler prawosławny powstawał przeciw woli boskiej i za to karał go władze sowieckie Sybirem i Solówkami, poniewierką i katorgą.

Metropolita Mikołaj nie chce być gołostowny w swych wywodach. Posługuje się argumentacją, podobną jego argumentacji — Patriarchy Tichona. „Z woli Boga stanęła władza radziecka”. Powołuje się na orędzie cytowanego Tichona, które obwieszcza władzę radziecką razem z narodem i potępia wszelką agitację, jawną lub skrytą, przeciwko nowemu ustrojowi państwowemu.

Bez drżenia ręki piszącej apeluje metropolita słowami Tichona: „Zaklinamy was ze spokojnym sumieniem, bez bojaźni zgrzeszenia przeciwko świętej wierze, podporządkujcie się władzy radzieckiej z całego serca i z całej duszy”.

Więcej niż połowę broszurki zajmują opisy niemieckiego prześladowania rosyjskiej cerkwi prawosławnej, a to wszystko pod tytułem: „Faszyści plugawią światynie, sztydzą z kapłanów i wiernych”. Czytamy te opisy i stwierdzamy, że przypuszczalnie również Niemcy, mogliby dosłownie przedmukować je, zostawiając nawet te same miejscowości i nazwiska, a zmieniając tylko pierwsze słowa tytułu na „komunistów”. Wszystko byłoby równie prawdopodobne i prawdziwe.

Nie tylko uwadze prasy polskiej, ale i niemal całego świata uszła niesłychana napaść Synodu Cerkwi Prawosławnej w Rosji na Ojca Świętego. Przecoczenie to nastąpiło oczywiście na skutek nawału aktualnego materiału z frontów i sensacji politycznych. Synod ów ogłosił odezwę, w której zarzuca Ojcu Świętemu i Waty-

kanowi „dążenie do wybielania hitlerowskich Niemiec, a tym samym do umożliwienia antychrześcijańskiej doktryny faszystowskiej i jej agentom utrzymanie się także po wojnie”.

Sprawa ta jest jasna i nie wymaga żadnych komentarzy. Można i należy przejść nad nią do porządku, po otrząśnięciu się — oczywiście — z uczucia ohydy i odrarzy. Dziwnym, czy nie dziwnym zbiegiem okoliczności sowiecki kościół prawosławny przychodzi w sukurs Niemcom w ich atakach na Papieża. Mieniący siebie kościołem chrześcijańskim Synod angażuje się aktywnie do polityki, do współpracy z partią komunistyczną, kapitulując bezwarunkowo przed sowieckim systemem — atakuje w bezprzykładny sposób Najwyższy Autorytet Chrześcijaństwa!

To też propaganda sowiecka może chyba tylko liczyć na bezgraniczną naiwność ludzi wierzących, że w Rosji zapanowała era liberalizmu religijnego i tolerancji.

Prawda jest oczywista.

Rosyjska cerkiew prawosławna stała się bezwolnym narzędziem partii komunistycznej. Jest ona potrzebna imperializmowi rosyjskiemu. Ułatwia mu — pod pozorami opieki nad współwyznawcami — wkraczanie w wewnętrzne sprawy innych państw. Jako przykład posłużyć może Syria. Kilku set prawosławnych obywateli syryjskich, w obliczu rzekomej krzywdy wyrządzonej im przez Mahometan — odniosło się do Moskwy z prośbą o opiekę. W wyniku tego, natychmiast przybyła do Damaszku grupa „opiekunów” z Moskwy, którzy niewątpliwie zainteresowali się nie tylko życiem religijnym Syryjczyków. Dziwnym zbiegiem okoliczności wypadek ten miał miejsce w czasie, gdy w prasie światowej ukazały się głosy, że na Bliskim i Środkowym Wschodzie — obok Wielkiej Brytanii, Francji i Stanów Zjednoczonych — zainteresowana jest także i Rosja Sowiecka.

Nagle faworyzowanie bezwolnych i skorych na rozkaz przedstawicieli rosyjskiego prawosławia przez sowieckie czynniki oficjalne — tłumaczy w dużej mierze przemówienie delegata chilijskiej partii komunistycznej na kongresie komunistycznym w Meksyku:

„Ze względów strategicznych musimy udawać, że sympatyzujemy z religią, a nawet rząd sowiecki zmuszony został do tolerowania obrządków religijnych”.

Nie ulega żadnej kwestii, że opowiadanie się rosyjskich dygnitarzy cerkiewnych za Stalinem nie jest przejawem nagłej to-

lerancji religijnej, ale tylko i wyłącznie dowodem zupełnego podporządkowania cerkwi partii komunistycznej, dowodem uczyńnięcia z niej nowego narzędzia sowieckiej propagandy i rosyjskiego imperializmu, pomocnika w poszukiwaniu naiwnych, głupich, czy złych.

Witold Zahorski

Na Indochiny i Burmę

Jednym z najważniejszych obecnie problemów, wobec których stoi Francja, jest przywrócenie jej stanu posiadania na Dalekim Wschodzie. Tymczasowy rząd francuski rozumiał, że sprawa ta nie uda się bez poniesienia pewnych ofiar ze strony Francji i ponadto, że naród francuski musi wziąć czynny udział w walkach o oswobodzenie Indochin od Japończyków. Czyniąc zadość pierwszemu warunkowi, gabinet francuski uchwalił nowy statut dla tych krajów, a jeśli chodzi o walki zbrojne, to rząd francuski czyni pertraktacje z rządami Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii o dostarczanie zaopatrzenia oddziałom tam walczącym.

Indochiny należały do Francji od drugiej połowy 19 wieku. Wprawdzie ludność tubylcza, a zwłaszcza 24.000.000 buddystów, podnosiła częste bunt, ale Francuzi pomimo to utrzymali się przy władzy. Po upadku Francji w 1940 roku tamtejsze garnizony francuskie zezwoliły Japończykom na wybudowanie całego szeregu obiektów wojskowych i fortyfikacji, szczególnie w Annamie - prowincji ciągnącej się wzdłuż morskiego wybrzeża, gdzie wojskowe władze japońskie wybudowały cały szereg urzędów morskich. Wtedy też został wstrzymany przez Francuzów cały ruch tranzytowy. Przez Indochiny bowiem kierowane były wszystkie transporty materiałów wojennych, przesyłane przez Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię do Chin. Skutkiem tego stanowiska indochińskich władz francuskich, powstała konieczność budowy nowej drogi burmeńskiej. Po Pearl Harbour Japończycy zajęli te tereny, pozostawiając jednak francuskie, niewielkie zresztą garnizony i administrację. Taki stan rzeczy trwał do momentu, kiedy ostatnio Japończycy chcieli rozbroić garnizony francuskie i policję, oskarżając Francuzów o pozostawanie w sekretnej kontakcie z Amerykanami, o faworyzowanie zamierzonego ataku na japońskie wojska okupacyjne i o współdziałanie z amerykańskim lotnictwem, bazowanym na Filipinach oraz z alianckimi łodziami podwodnymi. Wtedy część Francuzów zbuntowała się i ukrywając się w dżungli lub w górach, rozpoczęła walkę partyzancką.

Jak tylko Japończycy podali wiadomość o wybuchu rewolty, jej znaczenie dla strategii

alianckiej stało się jasne; bowiem jedna z dróg inwazji na Chiny prowadzi właśnie przez Annam, chociaż olbrzymi łańcuch górski leży równolegle do linii brzegowej. Z tej przyczyny stratedzy alianccy nie wzięli poważnie oświadczenia japońskiego, że Annam i Cambodża - inna prowincja indochińska - są uznane za „niepodległe”.

Jedynym niezależnym państwem w południowo-wschodniej Azji jest leżący pomiędzy Indochinami a Burmą Thailand. Jest on niezależny od okresu, kiedy powstał tam silny ruch narodowy przeciw białym i chińskiej mniejszości. Wynikiem tego ruchu była polityka pro-japońska. W 1942 Thailand wypowiedział wojnę Stanom Zjednoczonym i Wielkiej Brytanii. Tym samym dał możliwość Japończykom używania go jako bazy w czasie kampanii w Burmie i na Malayach, aż do czasu, kiedy przed sześciu miesiącami Thailand stał się całkowicie japońskim „bandwagon”. Wtedy nastąpiła zmiana w rządzie i marionetkowy premier został zastąpiony przez innego. Ten nowy premier stopniowo opuszczał przychylną Japończykom politykę, jaką prowadzili jego poprzednicy. Japończycy wprawdzie spostrzegli tę zmianę, ale zajęli wobec niej stanowisko tolerancyjne. Dopiero przed kilku tygodniami narzucili oni Thailandowi warunki postępowania z Francuzami zbiegłymi z Indochin oraz zastrzegli sobie otrzymywanie posiłków wojennych. Thailand zdaje się orientować, jaki obrót przybrała sprawa na Pacyfiku i prowadzi odpowiednią do tego politykę, chociaż jego nienawiść do cudzoziemców i Chińczyków nie może łatwo wygasnąć. Co się tyczy Aliantów, to bierny Thailand jest dla nich lepszy, niż Thailand czynnie pomagający Japończykom.

Według japońskiej polityki, we wszystkich krajach o których mówi się, że zerwały francuskie łańcuchy i ogłosiły swoją „niepodległość”, został pozostawiony bez zmian rząd tubylczy i respektowane są wszystkie prawa oraz system polityczny, jakie istniały pod rządami francuskimi, ale wszędzie zostali przydzieleni japońscy doradcy.

Japońska decyzja objęcia pełnej władzy wojskowej i administracyjnej nad Indochinami francuskimi może mieć i napewno będzie



Daleki Wschód

miała vitalne znaczenie dla przyszłości krajów tu położonych. Istnienie obecnego stanu wojny pomiędzy Francuzami, a wojskami japońskimi, materialnie wzmacnia pozycję tymczasowego rządu francuskiego w dziedzinie politycznej na Dalekim Wschodzie.

Obecne zadanie tymczasowego rządu francuskiego polega na skonsolidowaniu akcji poszczególnych oddziałów partyzanckich i rozszerzeniu tej akcji, jak to jest tylko możliwe. Rząd francuski przygotował już plany kontrofensywy przeciw 60.000 armii japońskiej w Indochinach i obecnie jedyną przeszkodą do rozpoczęcia jakiegokolwiek akcji jest różnica, która wytworzyła się pomiędzy aliantami w tej kwestii. Różnica powstała na tym tle, że część Francuzów upierała się przy separowaniu oporze wewnętrznym, zamiast rozwinięcia

oddziałów zgodnie z planem aliantów. Ponieważ jednak Alianci odnoszą się przyjaźnie do ruchu powstańczego w Indochinach, należy mieć nadzieję, że sprawa zostanie załatwiona pomyślnie dla obu stron.

Wojna prowadzona w Burmie zmieniła się całkowicie. Zmiana ta nastąpiła nie tylko pod względem taktycznym. Zmieniła się również rola strategiczna, którą ma w przyszłości odegrać kampania w Burmie. Taktyka, stosowana obecnie przez wojska sojuszników, jest zupełnie różna od poprzedniej, bowiem choć walki toczą się jeszcze w lasach burmeńskich, to dźwignia pozostała już daleko poza walczącymi tu oddziałami. Fakt ten daje możliwość dowództwu brytyjskiemu użycia większej siły

ludzkiej i wyzyskania ciężkiej broni pancерnej, co jest możliwe tylko w terenach otwartych. Dalo to już rezultaty. Walka zaczęła postępować szybciej i wojska sojusznice, posuwając się naprzód, natrafiają bardzo często na ślady pośpiesznego cofania się Japończyków, znajdując stanowiska umocnione, składy amunicji i działa — opuszczone.

Na skutek zwycięstw armij sprzymierzonych kampania w Burmie, jak to już powiedzieliśmy, przyjmuje na siebie nową rolę strategiczną. W początkach 1944 roku zadanie Brytyjczyków w Burmie polegało na odciągnięciu wojsk japońskich od okręgów północnych. Tam bowiem zaczęto budować drogę prowadzącą z Indyj przez Tybet do Chin. Była to jedyna droga do Chin, którą Amerykanie mogli dostarczać zaopatrzenia armiom chińskim, walczącym przeciw Japończykom. Zadanie obrony tej budowanej drogi zostało zakończone w styczniu bieżącego roku i z tą chwilą zmienił się charakter wojny w Burmie. Tak długo, jak połączenie z Chinami było przerwane, wszystkie operacje na tutejszym teatrze wojennym miały charakter defenzywny. Marsz na Mandalay oznaczał całkowity zwrot w wojnie — przejście z defenzywy do ofenzywy. A zdobycie tego miasta jest równoznaczne z wyrwaniem z rąk japońskich całej Burmy. Jeżeli operacje obecne nie przeciągną się zbyt długo i wojska alianckie rozpoczną marsz na południe, będą miały drogę do Rangoon'u otwartą. Szybkość akcji jest tu czynnikiem bardzo ważnym, a nawet wręcz decydującym. Mniej więcej za trzy tygodnie rozpocznie się pora deszczowa, która jeśli nie sparaliżuje całkowicie, to w każdym razie bardzo utrudni akcję wojenną i dlatego 14 Armia brytyjska, ponieważ ona odgrywa najważniejszą rolę, musi stanąć do wysiłku z całym. Oprócz warunków klimatycznych nie istnieją żadne przyczyny strategiczne, dla których atak na Rangoon nie mógłby być rozpoczęty. Musi on jednak nastąpić natychmiast. Japończycy wiedzą o tym i dlatego ich opór w Burmie Środkowej jest tak zaciekły. Każdy tydzień zyskany przez nich w walce może oznaczać dla Aliantów konieczność odroczenia ataku aż do jesieni, a wiele wypadków może się zdarzyć do tego czasu.

Za koniecznością ataku przemawia fakt, że kwatera główna wojsk japońskich na kontynencie znajduje się w Sjamie i podbicie Ran-

goon'u byłoby założeniem pierwszej solidnej bazy dla operacji przeciw centrum sił japońskich. Odległość, jaka obecnie dzieli wojska 14 Armii od Rangoon'u wynosi mniej niż 300 mil.

Zajęcie całej Burmy będzie miało ogromne znaczenie dla ogólnej akcji przeciw Japończykom. Wraz z zajęciem jej wzrośnie nasilenie bombardowań obiektów nieprzyjacielskich i sieci komunikacyjnych, położonych na wschód i południe, bowiem bazy lotnicze znajdujące się teraz w Indiach, zostaną znacznie przybliżone. Alianci zyskują również szeregi baz morskich, co w znacznym stopniu ułatwi operacje przeciw garnizonom japońskim na wyspach Oceanu Indyjskiego oraz na Malayach. A według wszelkich danych, operacje takie zostały już zaplanowane przez Brytyjczyków, bowiem zgromadzili oni w tym rejonie wielką flotę, posiadającą nawet 10 lotniskowców, a 5 z nich o wyporności 23.000 ton. Ponadto inna flota brytyjska kieruje się na Ocean Indyjski. Japońskie koła wojskowe spodziewają się, że operacje te rozpoczną się wkrótce.

Nie jest także rzeczą małej wagi, że Brytyjczycy, zajmując Burmę Środkową, zyskali bardzo bogate tereny naftowe, znajdujące się na południu od Mandalay, w okolicach Pagan — dawnej stolicy kraju. Zaś w Mogok odzyskana została jedna z największych w świecie kopalni rubinów.

Na wschodzie Burmy przez zajęcie Lashio przez Pierwszą Armię Chińską, Alianci zyskali dogodne połączenie komunikacyjne z Chinami. W Lashio kończy się stara droga burmeńska i stąd rozpoczyna się linia kolejowa do Rangoonu. Obecnie cała droga na odcinku Lashio-Kunming jest w rękach Amerykanów i Chińczyków. Przed wojną rozpoczęto budowę linii kolejowej z Lashio do Kunming i Chunking, ale nie została ona ukończona. Kilkaście mil poniżej Lashio znajdują się dobre drogi, prowadzące do Thailandu i francuskich Indochin, ale są one jeszcze w rękach Japończyków.

Walka o Burmę Środkową kosztowała wiele ofiar ze strony Aliantów, (padło w niej też około 17.000 Japończyków), przyniosła jednak wielkie korzyści, które odbijają się niewątpliwie na ogólnym stanie wojny z Japonią.

J. Moran



Koniec walki o Pacyfik

W wyniku ostatnich zwycięstw wojsk amerykańskich, walkę o Pacyfik można uważać za skończoną. Wojna z Japonią wkroczyła w nową fazę. Teraz rozpoczyna się walka o wyspy Japonii właściwej. Nadszedł moment, w którym musi zostać zdecydowane — czy celem ataku mają być siły japońskie w ich kraju, czy też na kontynencie chińskim. W japońskich kołach wojskowych panuje przekonanie, że floty — amerykańska i brytyjska, które zaatakowały wyspy archipelagu Ryukyu, nie poprzestaną na tym i następnym z kolei atakiem będzie inwazja na jedną z wysp Japonii właściwej.

W walce o Pacyfik dowództwo japońskie popełniło wielki błąd strategiczny. Błędem tym było nieużycie floty morskiej, która z małymi wyjątkami, nie weszła do poważniejszej akcji. Skutkiem tego pozbawiono się ono kontroli nad morzami zupełnie dobrowolnie, a ponadto stracone zostały bez walki główne źródła ruchomej potęgi Japonii — materiałów pędnych. Bardzo jest możliwe, że flota japońska była świadomie oszczędzana, aby mogła być użyta przeciw inwazji amerykańskiej na wyspy Japonii właściwej. Ewentualność taka mogłaby stać się groźna dla Aliantów. Admiral Nimitz powiedział o niej, że „flota japońska dostatecznie skoncentrowana i użyta we właściwym czasie, mogłaby przedstawiać rzeczywiste niebezpieczeństwo dla atakujących”. Jednak ta ewentualność przestała być brana pod uwagę po ataku dokonanym przez flotę wice-admirała Mitscher'a na Kure i Kobe. Obecnie silna swojego czasu flota japońska została zredukowana do tego stanu, że nie posiada jednostek morskich, które byłyby zdolne przeciwstawić się potężnym jednostkom floty amerykańskiej lub brytyjskiej.

Ostatnie sukcesy Amerykanów i Brytyjczyków na Pacyfiku pogorszyły znacznie sytuację Japonii. Przez zdobycie Iwo Jima Amerykanie zyskali bazy powietrzne, skąd poważnie zagrażali miastom japońskim i przemysłowi. Jednak o wiele bardziej poważne następstwa będą miały ostatnie lądowania amerykańskie na wyspach archipelagu Ryukyu-Okinawa i innych mniejszych do niej przyległych. Archipelag Ryukyu składa się z 140 wysp i ma on wielkie znaczenie strategiczne dla Japonii jako baza broniąca dostępu do wysp Japonii właściwej od południa. Zajęcie tych wysp przez Aliantów jest uważane za wielki sukces. Bowiem główna wyspa archipelagu leży w odległości 800 mil od wielkiego portu japońskiego Nagasaki i w odległości mniejszej, niż 800 mil od Shanghai'u; linia

Okinawa-Shanghai jest przecięta przez główną, handlową linię komunikacyjną, która łączy Japonię właściwą z terytoriami przez nią zajętymi na południu. Z zajęciem Ryukyu cała komunikacja dostaje się pod kontrolę Aliantów i tym samym Japonia zostaje za-blokowana z tej strony. Nie należy przytem zapominać, że Japończycy na wyspach okupowanych przez nich posiadają olbrzymie siły wojskowe, które od tej chwili stają się bezużyteczne dla obrony kraju. Ponadto Amerykanie zagrażać będą teraz Shanghai'owi, który jest bramą wejściową do doliny Jang-tse, odgrywającej rolę spichlerza dla przemysłu japońskiego. Zajęcie wysp Ryukyu sprawiło również, że obecnie Japonia właściwa leży w zasięgu działalności lotnictwa myśliwskiego Aliantów.

Sama Okinawa posiada 5 dogodnych lotnisk oraz 8 zatok takich rozmiarów, że mogą pomieścić tysiące okrętów. Sieć linii kolejowych i szos na wybrzeżach jest dość dobrze rozwinięta. Stolica wyspy Naha ma 60.000 mieszkańców.

Akcja wojsk amerykańskich na Ryukyu początkowo nie napotykała na poważniejszy opór ze strony Japończyków. Zdarzało się, że punkty obronne a nawet całe miasteczka były zajmowane bez jednego wystrzału. Amerykanie w swoim pochodzie naprzód spotykali opuszczone pillboxy, blokhauzy, umocnione pozycje piechoty a nawet stanowiska artylerii. Ludność cywilna, która poddaje się Amerykanom, czyni to z wielkim strachem, bowiem japońskie władze wojskowe wydały ostrzeżenie, że żołnierze amerykańscy dokonują gwałtów i torturują cywilów. Na skutek tego bardzo wielu Japończyków popełnia samobójstwo, uważając śmierć sobie samym zadaną za łagodniejszą.

Korespondenci wojenni z wyspy Tokashiki donoszą, że około 200 osób popełniło tam samobójstwo w momencie zbliżania się Amerykanów. Zaledwie kilka z nich zdołano uratować. Samobójstwo popełniają także kobiety, zabijając uprzednio swoje dzieci. Sznurek lub granat ręczny, to narzędzia śmierci dla tych ludzi. Osoby uratowane są przerażone nawet wtedy, gdy Amerykanie dają im pożywienie lub udzielają pomocy lekarskiej. Pewien starszek dostał szoku nerwowego, gdy przekonał się, że amerykańscy żołnierze do-brze traktują japońską ludność cywilną, ponieważ zabił o swoją córkę, aby nie dostała się w ich ręce.

Podczas lądowania na Okinawa Amerykanie nie stracili ani jednej jednostki morskiej. Japończycy wprawdzie założyli bardzo gęstą sieć min podwodnych na wybrzeżu, ale te zostały szybko usunięte przez poławiacze min i wielka flota amerykańska weszła bezpiecznie na wody przybrzeżne.

Według opinii specjalistów, była to najlepiej zorganizowana operacja ze wszystkich przeprowadzonych dotychczas na Pacyfiku. Nigdy przedtem podobnie olbrzymia flota nie przebyła tak dużej odległości, aby lądować na wybrzeżu nieprzyjacielskim. W operacji tej brało udział 1400 okrętów amerykańskich i brytyjskich.

Wprawdzie, jak to zresztą przewidział admirał Turner, Japończycy usiłują odbić wyspę, na skutek jej znaczenia, ale wysiłki ich są daremne i potężne kontrataki są odrzucane przez wojska amerykańskie. Liczba wojsk amerykańskich, które tu się wyladowały jest wystarczająca, aby przeciwstawić się wszelkim zamierzeniom japońskim. Jak wielkie i jak pełne desperacji są wysiłki Japończyków, aby bronić swojej ziemi przed inwazją Aliantów, może pomiędzy innymi świadczyć fakt wprowadzenia w użycie specjalnych samolotów t.zw. samobójczych. Są to bardzo małe i nadzwyczaj tanie maszyny, ale w praktyce są bardziej skuteczne, niż V-bomby. Samolot taki zabiera jedną tonę materiałów wybuchowych, który jest umieszczony w przodzie. Piloci zostają zaplombowani w takim samolocie przed startem, a koła odpadają w czasie lotu. Samoloty te eksplodują z chwilą, kiedy ich przód albo skrzydła dotkną twardego przedmiotu. Piloci-ochotnicy otrzymują przeszkolenie na specjalnych kursach sześciomiesięcznych. Po ukończeniu kursu każdy z nich otrzymuje trzy miesiące urlopu i kobietę jako dodatek — na przeciąg tego czasu.

Amerykanie dokonali także inwazji na cały szereg innych wysp położonych w tym rejonie. Zajęli oni Tsugen, Tsukata, Keufu i wreszcie ostatnio lądowali na wyspie Je Shima, położonej w odległości 5 mil od Okinawa. Zdobyli przez to jeszcze jedno lotnisko oddalone o 35 mil od wybrzeży Japonii właściwej.

Jeśli chodzi o pozostałe części Pacyfiku, to wszędzie Alianci odnoszą sukcesy. Na Luzon wojska amerykańskie posuwają się naprzód. Wojska australijskie lądowały na Sapoi, a na frontach w północnej Gwinei, Nowej Brytanii i Bougaville robią dalsze postępy. Amerykanie lądowali także na wyspach—Negros, Cebu i ostatnio na Tawi-tawi. Tawi-tawi jest jedną z głównych wysp na Morzu Południowym, które

się ciągnie od Mindanao do północnego Borneo. Lądowanie na tej wyspie przeniosło siły amerykańskie na odległość 35 mil od Borneo — gdzie znajdują się wielkie źródła materiałów pędnych.

Radio japońskie podaje, że olbrzymia flota brytyjska, w skład której wchodzi także 7 lotniskowców, została zgromadzona na Oceanie Indyjskim i Japończycy przypuszczają, że możliwa jest teraz inwazja na wyspy Malajskie, Sumatrę, Burmę lub południowy Thailand.

Z tego wszystkiego widać jasno, że akcja przeciw Japonii rozwija się bardzo pomyślnie. Wprawdzie głównodowodzący floty amerykańskiej, admirał King, ostrzega, że zwycięstwo na Dalekim Wschodzie nie będzie rzeczą łatwą, nawet gdy wojna w Europie zakończy się. Uważa on, że dotychczasowe zdobycze są tylko uzyskaniem dogodnych pozycji do atakowania sił japońskich. Ale faktem jest, że Japończycy pozostają obecnie w ciągłej defenzywie, ponosząc olbrzymie straty w ludziach i materiale. Z drugiej zaś strony Alianci otrzymują stałe uzupełnienia; flota amerykańska powiększa się o nowe okręty, a ostatnio weszła do akcji flota brytyjska.

Nasilenie bombardowań japońskich obiektów militarnych i przemysłowych wzrasta z każdym dniem i jest niezależne od posiadanych przez Aliantów baz stałych, a przynajmniej do pewnego stopnia. To właśnie stanowi podstawę siły amerykańskiej, że nieprzyjacieli nigdy nie wie, skąd ma się spodziewać ataku. Bowiem Amerykanie zaopatrują się we wszystko z baz ruchomych. Bazy te, to prawdziwe miasta. Są tu hotele, wszelkiego rodzaju magazyny, piekarnie, hurtownie aptekarskie i t. p. Ludność takiego miasta-bazy sięga kilka tysięcy ludzi.

Sytuacja Japonii staje się z każdym dniem gorsza. Na skutek bombardowań ucierpiał bardzo jej przemysł wojenny. Nie był on bowiem, jak to miało miejsce w Niemczech, nastawiony na bombardowanie z powietrza na tak wielką skalę i wszystkie fabryki i zakłady przemysłowe znajdują się na powierzchni ziemi. Dowóz surowców jest coraz bardziej utrudniony na skutek całkowitego opanowania mórz przez floty Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Nie należy przez to uważać, że Japonia jest zupełnie pozbawiona siły. Posiada ona bowiem jeszcze cały swój azjatycki kontynent i 90 procent armii nietknięte. Jednak równowaga jej zarówno pod względem materialnym, jak i moralnym została poważnie zachwiana, a panowanie jej na Pacyfiku należy uważać za skończone.

Jerzy Puszczyński

Linia podziału

(Miesięczny przegląd wydarzeń)

Potęga wojenna trzeciej Rzeszy padła pod ciosami z zachodu. Siedem armij alianckich, przełamawszy linię Zygfrйда, izolowawszy 22 niemieckie dywizje w worku Ruhry, pokrajały niemiecki faterland tak dokumentnie i szybko zagonomi pancernymi, że nie miało niemieckie dowództwo czasu i możliwości ani wyratować swych armij, ani złota banku Rzeszy.

Na 6 milionów obliczano efektywy armii niemieckiej w dniu 6 czerwca 1945. Do 26.IV z tych 6 milionów 2.405.000 znalazło się w niewoli alianckiej. Z tego 1.015.000 wzięto po 1.IV.br.

Linia Wezery nie okazała się przeszkodą, któraby mogła zatrzymać postępy zachodnich aliantów. Worek niemieckich dywizyj otoczonych w górach Harcu zgnieciono szybko. Najbardziej zaciekle opór postawili Niemcy na skrzydle północnym zalewając północno-wschodnią Holandię, broniąc Emden, Bremy i Hamburga.

Na południu wojska francuskie likwidują opór niemiecki wzdłuż granicy szwajcarskiej, wojska amerykańskie weszły do Austrii i Czechosłowacji, ale przede wszystkim posuwając się wzdłuż Dunaju zmierzają do przecięcia Austrii przez połączenie się z wojskami sowieckimi, kontynuującymi marsz w głąb Austrii po zajęciu Wiednia.

Tylko w Moskwie wspinały sukces militarny aliantów nie znalazł uznania. Moskwa zrobiła wszystko, by zaprzeczyć oczywistej prawdzie, że zwycięstwo nad Niemcami przyszło z zachodu. Oto próbka tonu oskarżeń i uznania Moskwy dla wysiłku alianckiego: Moskwa, 16. IV: „Niemcy zostawiają na froncie zachodnim przemysłowców, których zadaniem jest zawarcie pokoju z Anglikami i Amerykanami”. „Prawda” z 18. IV: „Gdy Niemcy napadły na ZSRR, armia czerwona była osamotniona w

walce z nimi przez 3 lata... sama bez pomocy państw zachodnich rozstrzygnęła losy tej wojny. Świat winien pamiętać, że to Związek Sowiecki ocalił i wyzwolił świat i raz na zawsze położył kres agresji faszystowskiej”. 20. IV. mówił sowiecki Dittmar, pułkownik Kołomiejcew: „Opór Niemców w zagłębiu Ruhry w niczym nie przypomina walk wojsk niemieckich otoczonych w Królewcu lub Gdańsku. Na zachodzie zostało niewiele wojsk niemieckich (1.000.000 jeńców w ciągu miesiąca — przyp. red.) ...Wszystko zostało przzerwane na wschód. ”W tydzień później ten sam Kołomiejcew śpiewa nową kołomyjkę: „Armia generała Pattona posuwa się w głąb Niemiec południowych i dociera do granicy austriackiej, nie natrafiając na żaden opór Niemców. Jest to wynikiem tego, że wojska sowieckie zmusiły Niemców do koncentracji w s y s t e m i e w s c h o d n i m, szczególnie w rejonie Berlina, do obrony swojej stolicy”.

Dzięki zachodnim aliantom za czołgi, samoloty, Jeepy i buty, chwała ich wojennemu wysiłkowi! Niech żyje jedność obozu aliantów!

„Da zdrowstwuje! Prawdolubimyj sowieckij sojuz!”

Gdy wojska alianckie stanęły na 200 kilometrowym odcinku Łaby, wojska sowieckie kotłowały się na nadodrzańskich przyczółkach. Szpalty dzienników wypełniły wiadomości o przekroczeniu Łaby, o spadochroniarzach pod Berlinem. Dobre wiadomości dobrych agencji. Lecz po tygodniu sam generał Eisenhower musiał je prostować. Stwierdził, że rewelacje, jakoby wojska alianckie podeszły pod Berlin i cofnęły się na żądanie Stalina, nie odpowiadają prawdzie. Że nie jest prawdą, by Stalin żądał od Roosevelta na dwa dni przed jego śmiercią wycofania wojsk amerykańskich ze wschodniego brzegu Łaby.



Przed połączeniem frontów wschodniego i zachodniego — 25. IV. 1945.

Jest faktem, że wojska amerykańskie i brytyjskie stanęły nad Łabą. Dowództwo alianckie dotrzymało zobowiązania Teheranu. Wojska alianckie nie przekroczyły świętej teherańskiej Łaby.

Na Berlin poszła ofensywa sowiecka. W chwili, gdy pisały te słowa, armia czerwona kończy likwidację oporu w stolicy Rzeszy i nie wiadomo, czy Hitler pogrzenie się pod gruzami Berlina, by dać początek legendzie nowych Nibelungów, czy też okaże się, że go w Berlinie wcale nie było.

Był natomiast rozkaz Hitlera napewno. Rozkaz ten nakazywał walkę do ostatniego z bolszewikami. Kazał powstrzymać „żydowsko-bolszewickie bandy”, zapewniał, że „Europa nigdy nie będzie rosyjska”, byleby tylko wykrwać ostatecznie bolszewików właśnie w „ostatnim ataku Azji” pod Berlinem.

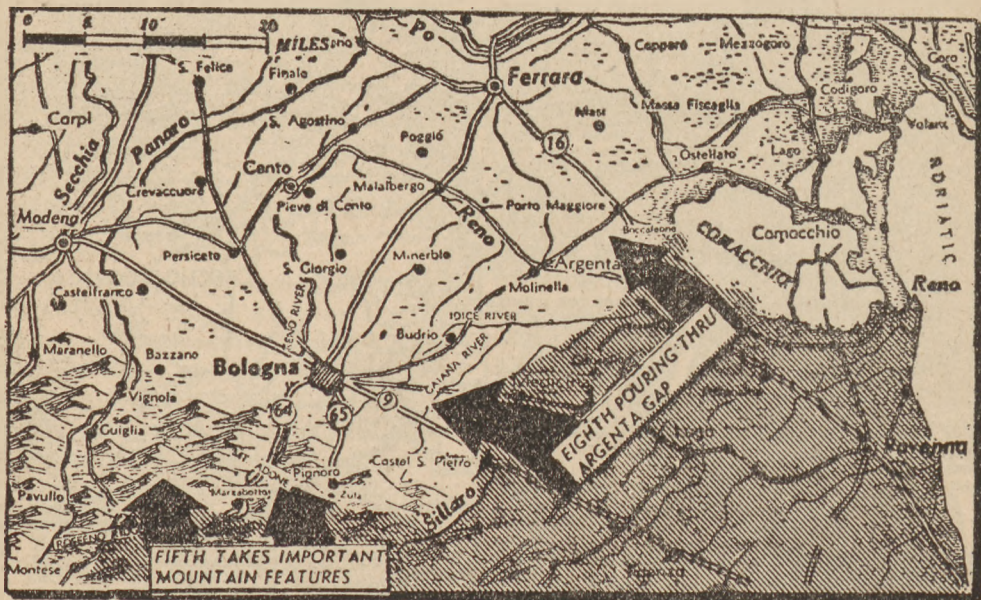
W wigilię urodzin Hitlera jeszcze raz zapisał Goebbels: „Jedynie dzięki wojskom niemieckim bolszewicy nie doszli nad wybrzeże Atlantyku. Niemcy uratowali w ten sposób chwilowo zachodnią Europę od całkowitej zagłady. Wielka Brytania, która zdradziła Europę, poniesie jeszcze zasłużoną karę”.

Przy akompaniamencie tych ostatnich prób ratowania Niemiec wojska amerykańskie i sowieckie spotkały się nad Łabą koło miasta Torgau i rozrzewnieni „bojcy” ze łzami szczęścia i z rosyjską duszą na ramieniu rzucili się oczywiście w objęcia amerykańskim żołnierzom, których, jak wiadomo gen. Kołomiejcew bez walk i niemieckiego oporu przy prowadził nad Łabę, omalże wyłącznie dla tej sceny zbratania.

Symbol Bolonii

Z rozciętych na dwoje Niemiec, które według Ditmara powinny paść ostatecznie w ciągu kilku dni, pozostały tylko strzępy.

Górska twierdza bawarsko-austriacka, kawałek Saksonii, Meklenburskie jeziora, pas morskiego wybrzeża Bałtyku i Morza Północnego, oto wszystko co zostało z Rzeszy. Izolowane grupy niemieckie: nad francuskim wybrzeżem La



Front włoski w czasie natarcia 2. Korpusu na Bolonię wzdłuż szosy nr. 9]

Zapewnienia towarzyszące spotkaniu nad Łabą brzmiały tonem patosu i powagi. Mówił Churchill: „Nasze zadanie obecnie rozbić resztki niemieckiego wojskowego oporu... Spotkaliśmy się w duchu prawdziwej, zwycięskiej przyjaźni”. Mówił Stalin: „Nasze zadanie całkowite rozbić wroga... Armia czerwona wykona swe zadanie do końca”. „Prosty, przeciętny Amerykanin” prezydent Truman powiedział od siebie: „Armie generała Eisenhowera spotkały armie sowieckie tam gdzie zamierzały je spotkać — w sercu hitlerowskich Niemiec”.

Rochelle, Nantes, St. Nazaire, Lorient w sumie do 100.000 żołnierza, wyspy na kanale La Manche, Dunkierka, wyspy Dodekanazu i worek na Krecie. Wreszcie 200 do 300 tysięcy żołnierza w Norwegii, Dania, reszta północnych Włoch i zachodniej Jugosławii.

Ofensywa aliancka we Włoszech dla zniszczenia 26 niemieckich dywizyj znalazła partnera w powstaniu włoskim, które oddało siłom włoskiego ruchu oporu Genuę, Mediolan i Mussoliniego.

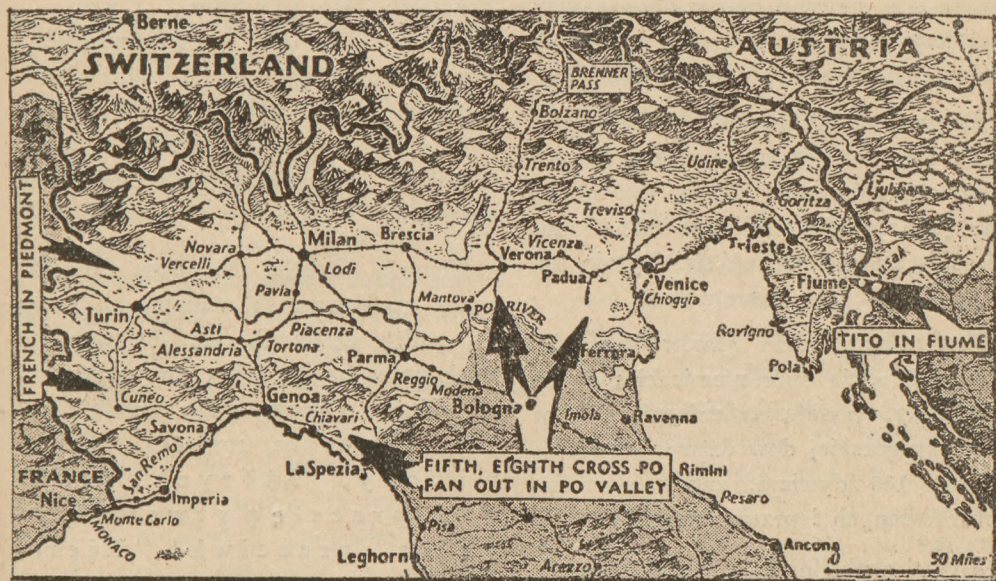
Nim jednak włoscy partyzanci mogli dorzucić swój udział do wyzwolenia Włoch północnych, trzeba było złamać fanatyczny opór niemieckich dywizyj, a

szczególne spadochroniarzy na ich ostatnich apenińskich i rzecznych pozycjach. Decydujący udział w tym uderzeniu przypadł Drugiemu Korpusowi; decydującym nazwał go nie kto inny, a sam marszałek Aleksander, ten sam, który Bolonię nazwał symbolem całej kampanii o północne Włochy.

I znów, jak pod Monte Cassino przez „Widmo” i St. Angelo żołnierzom „Kresowej” przypadło zadanie szczególnie

równie dumny”, ale to przede wszystkim i jedynie, że oddziały Drugiego Korpusu do Bolonii wchodziły pod sztandarami tych samych prawd, o które rozpoczęli walkę ich towarzysze broni we wrześniu 1939 roku, w tym wrześniu, w którym ci, co dziś na zbawców i wybawicieli świata pozują, świat w wojnę przez pakt z Niemcami wciągnęli.

Powstanie w północnych Włoszech będzie miało ogromne następstwa polityczne. Da Włochom większy tytuł do



Front włoski w dniu 25. IV. 1945.

odpowiedzialne, tak i tym razem żołnierze Lwowa i Wilna obok swych towarzyszy pancernych rozstrzygnęli los Bolonii bitwą o Gaiano. Klęska zadana elicie niemieckiego wojska we Włoszech była tak gruntowna i decydująca, że śmiało i bez przesady może o sobie drugi Korpus powiedzieć, że jak pod Monte Cassino do Rzymu, tak teraz do szwajcarskiej granicy on właśnie wojskom alianckim drogę otworzył.

Lecz tytuł do dumy Drugiego Korpusu przez symbol Bolonii jest szczególniejszy. To nie tylko to, że marszałek Aleksander oświadcza, że „nie ma wśród jego wojsk żadnego innego Korpusu, z którego były

praw w obozie alianckim. Czy przyniesie tylko rekonstrukcję rządu włoskiego, dopuści do głosu czynniki społecznego postępu, czy też przez komunistów otworzy drogę sowieckim wpływom i rewolucji — przyszłość pokaże. Na razie do czasu wkroczenia wojsk alianckich chwilową władzę ma sprawować 10 przedstawicieli pięciu partyj komitetu wyzwolenia narodowego, a socjalistyczni członkowie tego komitetu już zażądali ustąpienia Bonomiego.

Kapitulacja Himmlera?

Nie tylko gen. Eisenhower zaprzeczał, że wojska alianckie nie przeszły Elby. Kancelaria brytyjskiego premiera zaprzeczała, że nie ma nic do powiedzenia

„o doniesieniach i kapitulacji Niemiec” i zapewniała, że „zgoda zupełna panuje pomiędzy aliantami”. Wielu dziennikarzy uznało ten komunikat za ostateczne potwierdzenie wiadomości o złożeniu przez Himmlera oferty bezwarunkowej kapitulacji Niemiec na rzecz Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. „Wielka Brytania i Stany Zjednoczone odpowiedziały, że nie przyjmą oferty bezwarunkowej kapitulacji inaczej, niż w imieniu wszystkich aliantów, a więc i Rosji”.

Mocarstwa zachodnie zademonstrowały więc raz jeszcze wierność dla sowieckiego sojusznika i to w momencie, gdy jego przedstawiciele w San Francisco wcale nie krepują się zbyt ani w żądaniach, ani w metodach.

Jest jeszcze wiele głosów wskazujących na to, że opór niemiecki nie jest skończony, padają twierdzenia, że w twierdzy górskiej dowództwo niemieckie zebrało 100 dywizyj, zapewne mocno poturbowanych i przeczyszczonych.

Alianci zachodni jednak nie tylko odrzucili ofertę Himmlera, ale przez szybką penetrację w głąb Austrii, na Monachium i na Wenecję dążą do możliwie szybkiego zlikwidowania niemieckiego oporu i ostatecznego rozbicia ostatniej niemieckiej fortecy przed jej skonsolidowaniem się.

Natomiast chęć szukania ratunku przed bolszewikami u aliantów zachodnich napewno nie w Himmlerze znalazła swój wyraz najwyższy. Wojska amerykańskie stanawszy nad brzegiem Elby stały się świadkami dantejskich scen, które tym razem podane do wiadomości opinii anglosaskiej powinny przyczynić się do znajomości sowieckiego sojusznika. Oddajmy głos „Stars and

Stripes”, niech nam, „faszystom”, swoimi demokratycznymi wierszami mówi prawdę: „Uciekając przed posuwającymi się czerwonymi wojskami fala ludzka płynie ku Elbie spodziewając się znaleźć bezpieczeństwo na zachodnim brzegu u Amerykanów... Idą bez broni niemieccy żołnierze z nadzieją, że dostaną się do amerykańskiej niewoli... Idą Amerykanie i żołnierze brytyjscy, Belgowie, Francuzi, Rosjanie, Czesi... Przynoszą pogłoski, że Amerykanie i Brytyjczycy biją się z Moskalami. Zgłaszają się na ochotnika do walki przeciwko Rosji. Wszyscy są przestraszeni do obłądu”.

Historia kazała Niemcom przejść przez upokorzenie i niedolę, na którą aż nadto zasłużyli, ale dlaczego na wschodnim brzegu Elby na wschód od sił wolności i prawa mają pozostać miliony skazane na sowiecką niewolę, miliony, których jedynym przestępstwem była walka przeciwko Niemcom?

Brytyjsey parlamentarzyści świadczą przed światem, że bestialstwa Buchenwaldu i setek niemieckich obozów, ludożerstwo ludzi głodnych, zakopywanie żywcem, mordy masowe, hekatombie cierpienia to nie propaganda, a niemiecka rzeczywistość.

Kto i kiedy zagładnie za Elbą? Nad Wisłę, nad Dniepr!

Kto i kiedy policzy zesłańców Peczo-ry i Nowej Ziemi, Komi i Kazachstanu, kto i kiedy odkopie masowe groby Kozelska i Nowej Ziemi?

W prasie amerykańskiej pojawiły się zdania: „Bestialstwa niemieckie są

gorsze od sowieckich". Jaki parlamentarysta brytyjski oglądał sowieckie?

Traktaty Stalina

Na wschód od Elby Stalin zawiera traktaty.

Nie czekając na schemat światowej organizacji bezpieczeństwa zawiera jeden po drugim traktaty dwustronne, którymi narzuca swą wolę i zabezpiecza sowiecką sferę wpływów.

Niedyskretny „Time” ujawnił następującą rozmowę Stalina z Rooseveltem w Jałcie: Roosevelt podniósł konieczność zwołania konferencji światowej. Stalin zapytał krótko: „Poco?” „By przedyskutować zasady bezpieczeństwa zbiorowego” brzmiała odpowiedź Roosevelta. „A co tam jeszcze pozostało do dyskusji?” oto historyczne pytanie Stalina.

Z wezwaniem do Moskwy Tito podpisano pakt przewidujący pomoc wzajemną, „przeciwko Niemcom, lub każdemu innemu rządowi, który mógłby zawrzeć z Niemcami sojusz oficjalnie czy nieoficjalnie”.

Z Czechosłowacją Benesza już poprzednio zawarto „pakt przyjaźni”. Teraz zmieniono Beneszowi rząd, dając mu na premiera pana o nazwisku Zdenek Firlinger, byłego czeskiego ambasadora w Moskwie, i, jak pisze „Time”, po „dwunastodniowych kolejkach wódki i kawioru” wysłano Benesza do Koszyc, przepuszczając go po drodze przez rząd bram tryumfalnych z portretami Stalina i kształcącymi napisami: „Cześć i podzięką czerwonej armii wyzwolicieli! Cześć naszemu wybawcy Stalinowi”.

Szczytem paktów był jednak podpisany przez samego Stalina „układ o przyjaźni, pomocy wzajemnej i współ-

pracy powojennej” pomiędzy Z.S.R.R. a Osóbką Morawskim. Nie czekał z nim Stalin pomimo wyraźnych oznak niezadowolenia ze strony brytyjskiej i amerykańskiej na utworzenie „rządu jedności narodowej”, podpisał go sam z własnym agentem, a w pięknym sowieckim przemówieniu po podpisaniu paktu zaczął z niego po prostu cieszyć się również zachodnim aliantom mówiąc: nie wątpimy, że sprzymierzeni na zachodzie powitają z radością ten układ. Niech żyje i kwitnie wolna i demokratyczna Polska!”

„Żyt’ stało weseleje!”

Dyktat Mołotowa

Do San Francisco natomiast po okresie przetargów wysłał Josif Wisarionowicz Wiaczesława Michajłowicza Mołotowa. Wiaczesław Michajłowicz z miejsca zademonstrował nowe, udoskonalone metody dyplomatyczne. Na konferencję prasową zaprosił 500 dziennikarzy i po prostu podyktował im, co będzie na konferencji. „Konferencja nie będzie rozpatrywała sprawy Polski”. Będzie ona załatwiona zgodnie z uchwałami konferencji krymskiej. „Na pytanie, czy przedstawiciele sowieckich republik Ukrainy i Białorusi wezmą udział w konferencji, odpowiedział twierdząco przed jakimkolwiek głosowaniem w tej sprawie. Przed obradami. Stetinius miał przewodniczyć stale przez cały czas trwania konferencji. Mołotow postawił wniosek o przewodniczeniu po kolei delegatów wielkiej czwórki. Wniosek Mołotowa z poprawkami Edena przeszedł.

W początkowej fazie konferencji natomiast natrafił Mołotow na zdecydowany opór w przeprowadzeniu sowieckiego dyktatu w sprawie Polski. Moskwa wystąpiła dwukrotnie z żądaniem wprowadzenia przedstawiciela Lublina

urzędującego w Warszawie jako przedstawiciela Polski. Stany Zjednoczone i Wielka Brytania dwukrotnie odrzuciły sowieckie żądanie, upierając się przy powołaniu na zasadzie uchwał krymskich nowego rządu jedności narodowej, który dopiero mógłby być dopuszczony do reprezentowania Polski w San Francisco.

Korespondent B.B.C. zapewniał, że „Wielka Brytania i Stany Zjednoczone całkowicie są zgodne nie uznawać żadnego rządu polskiego, który nie będzie oparty na podstawach demokratycznych po zreorganizowaniu rządu lubelskiego”.

Associated Press sumując wyniki pierwszych dni konferencji stwierdza, że zakończyły się one „z zwycięstwem Rosji w sprawie trzech głosów, kompromisem w sprawie przewodnictwa i porażką w sprawie Polski”. Uważa się, że „stanowisko Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Chin w sprawie Polski będzie jednolite”.

Nieobecność Polski w San Francisco stała się symbolem wyrzeczenia się przez obóz aliancki pierwotnych szczytnych ideałów tego obozu, a obecny targ i trudności w sprawie Polski są wyrazem próby obrony mocarstw zachodnich przed coraz dalej sięgającym dyktatem Moskwy.

Tymczasem w Kraju zniknęli bez wieści przewodnicy polskiego podziemia z wicepremierem Jankowskim na czele, zaginął słuch o Wincentym Witosie, również uprowadzonym przez N.K.W. D. Nie wiemy, czy i kiedy i z jakimi rewelacjami odezwie się o nich Moskwa. Wiemy natomiast, że prawowity rząd polski z siedzibą w Londynie mianował nowe władze podziemne dla Kraju, że walka z nowym okupantem, choć w innych formach, trwa.

Kraj jednak mówić nie może. Nie może dziś mówić Polska, tak jak nie może od dwudziestu siedmiu lat mówić Ukraina, czy Białoruś, tak jak nie może dziś mówić nikt, żaden naród na wschód od Łaby. W ich imieniu muszą i będą mówić ci wszyscy, którzy znajdują się

poza zasięgiem sowieckiej okupacji. W imieniu narodu polskiego mówili w ostatnim miesiącu żołnierze pod Bolonią i pod Emden, jutro będą mówić wszyscy ci, którzy znajdują się obok nas.

Gdyśmy przed rokiem szli do natarcia na wzgórze Monte Cassino, czy później przez nadadriatyckie rzeki, ścisnęło się nie raz serce, że po tamtej stronie są nasi bracia przemocą ubrani w niemiecki mundur. Dziś są oni wśród nas i byli z nami pod Bolonią.

Dziś serce ścisnęła inna wiadomość. Rola Żymierski zapowiada mobilizację trzydziestu polskich dywizyj do końca bieżącego roku. Przeciwno komu?

Wierzymy, że i oni jutro będą wśród nas. „Kto raz był Polakiem, zawsze nim zostanie”. Tak przecież powiedział Stalin.

Bez Rosji byłoby źle

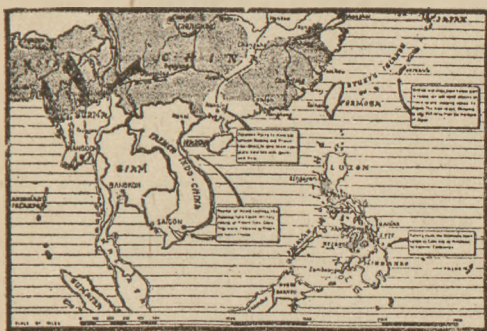
Jeżeli mówimy, że wzdłuż sprawy polskiej biegnie nowa linia podziału, że sprawa polska jest probierzem przyszłości Europy i świata, probierzem wolności i niewoli to wiemy równocześnie, że jest ona jednocześnie tylko punktem linii podziału, która już dziś przebiega przez cały świat.

W momencie, gdy w najkrwawszych walkach na skalistej Okinawa pada kwiat armii amerykańskiej by wyrzucić Japończykom zwycięstwo, najpopularniejszy w armii amerykańskiej tygodnik nie waha się na tle wypowiedzenia przez Rosję sowiecko-japońskiego paktu o nieagresji pisać dosłownie:

”Kłopotliwa to prawda, że rządy Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii wygrałyby wojnę z Japonią bez cennej ale nie nieodzownej pomocy rosyjskiej... Byłoby natomiast o wiele łatwiej zawrzeć i utrzymać pokój w Azji, gdyby Rosji nie było przy stole konferencji pokojowej na Pacyfiku... W Kairze w grudniu 1943 r., tuż przed pierwszym spotkaniem ze Stalinem w Teheranie, Roosevelta i Churchilla dali w imieniu swych narodów słowo honoru, że 1.) Mandżuria wróci do Chin, 2.) że Korea będzie wolnym i niepodległym państwem. Obie

obietnice są sprzeczne z interesami rosyjskimi od siedemnastego wieku. Historyczne prawo Chin do Mandżurii nie podlega dyskusji; historyczne pożądanie Mandżurii i Korei przez Rosję też nie ulega wątpliwości. „... Konflikty interesów i metod w Europie były przyczyną naprężenia stosunków pomiędzy Wielką Trójką od samego początku. Lecz w ostatecznym wyniku najgłębszy konflikt, krytyczna próba tych stosunków i powojennego systemu bezpieczeństwa może mieć miejsce nie w Europie, lecz w Azji”.

Omawiając ostatni rozwój stosunków brytyjsko-amerykańskich, korespondent tegoż „Time” doszedł do zdecydowanego wniosku, że „stosunki brytyjsko-amerykańskie



Dalekowschodni teatr działań wojennych (tereny zakreskowane w ręku wojsk alianckich, w północnych Chinach częściowo kontrolowane przez oddziały partyzanckie i różne armie chińskie).

układają się zdecydowanie pomyślniej, niż stosunki brytyjsko-sowieckie. Inaczej było przed trzema miesiącami, kiedy to ... Wielka Brytania była skłonna raczej do opierania się o Moskwę, niż o Waszyngton”.

Brytyjski minister spraw zagranicznych p. Eden mówił niedawno: „Każde państwo na świecie stara się zapobiec zagrożeniu własnej niepodległości przez inne państwa. Oto dlaczego zawsze ... walczyliśmy przeciwko opanowaniu Europy przez jedno mocarstwo ... Można mieć nadzieję, że groźba tego rodzaju nie powtórzy się ... Lecz, gdyby kiedykolwiek miała ona zaistnieć, jestem przekonany, że rezultat będzie taki sam i wolni na całym świecie

połączą się znowu, by bronić swojej wolności”.

Wśród opinii amerykańskich o konferencji w San Francisco istnieje i taka: „Jeżeli San Francisco dzięki energii i wysiłkom p. Stetiniusa zakończy się powodzeniem, będzie to największy cud od czasu, gdy aniołowie zjednoczyli się, by pokonać Lucypera”.

Gdzież ten Lucyper?

Moskiewska „Prawda” odnalazła go w osobie byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych Herberta Hoovera, atakując go za krytyczny stosunek do San Francisco: „Hoover wzywa, by nie spieszyć się z organizacją systemu bezpieczeństwa. Jego myśli są jasne ... Hoover nie tylko boi się, ale nie pragnie trwałego pokoju. Wylewa on łzy że ... Polska, Finlandia i sowieckie republiki bałtyckie zostały wyrwane z kajdan niemieckiego imperializmu. Oczywiście nie myśli on o wojnie dla „zabezpieczenia ich wolności”.

Herbert Hoover odpowiedział: „Nie myślę, bym zamierzał wdawać się z nimi w dyskusję”.

Myślimy, że cała trudność polega na tym, że biblia nie podaje, ile lat przygotowywali się aniołowie, by strącić z tronu Lucypera!

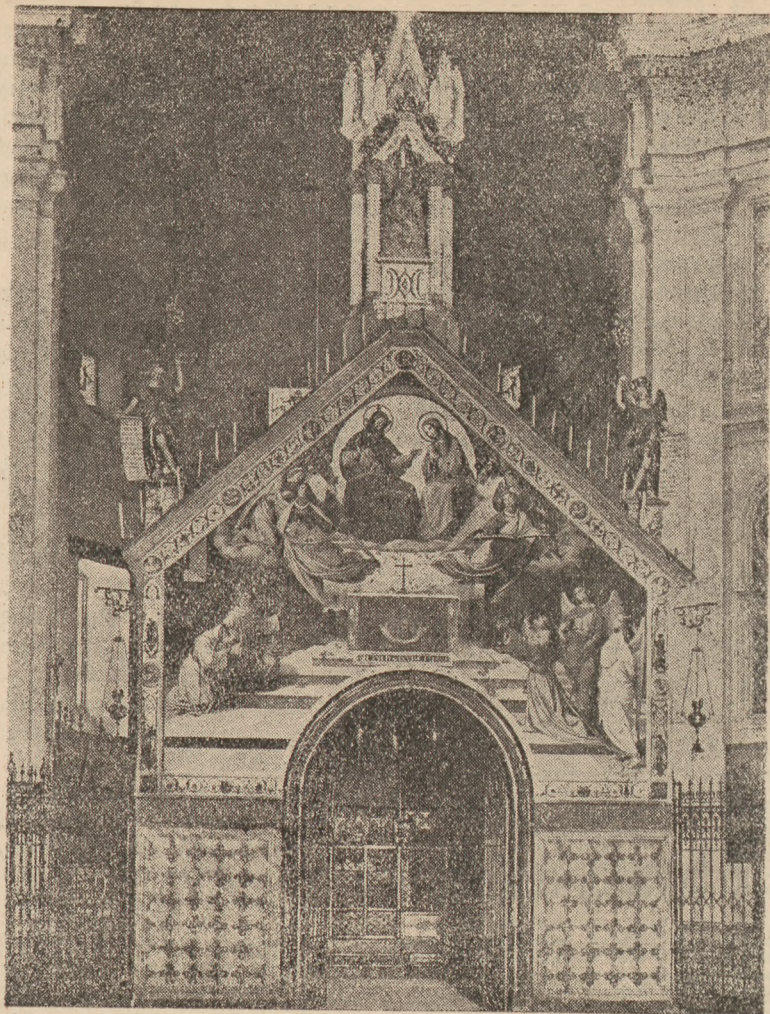
Gwałtownie zbliża się koniec wojny. W tym ostatnim momencie jesteśmy świadkami próby ratowania narodu niemieckiego przed bolszewicką niewolą. Hitlera grzebią się pod gruzami Berlina, walczącego do ostatniego łachu z bolszewizmem. Nowy fuehrer, Doenitz, zapowiada walkę z alian-tami zachodnimi tak długo, dopóki przeskadzają oni walce z bolszewizmem. Armie niemieckie w północnych Włoszech i południowej Austrii — do 900.000 żołnierza — kapitulują na rzecz Anglosasów.

W San Francisco linia podziału na tle sprawy polskiej trwa, mimo, że Molotow szantażuje wyjazdem do Moskwy.

Przez cały świat przeszła owa linia podziału. Czy i kiedy świat ją zechce zrozumieć i z niej wyciągnąć konsekwencje? Nie wiemy. Wiemy, że nowa linia podziału przeszła przez Polskę, przez zabór Wilna i Lwowa, przez tragedię Warszawy i wiemy, że my, Polacy wolni, poza zasięgiem NKWD — jesteśmy tej linii stróżami.

2.V.1945.

J. Ż.



Assyż: „Porziuncola” w Bazylice Najświętszej Panny Marii Anielskiej

Bazylika Santa Maria degli Angeli

Bracie Franciszku,

Wieleż lazuru zagarnia wśród pola
kopuła piękna, którą wzniósł Vignola
ponad kaplicą, gdzie w krzyż dając dłonie
nagi na ziemi leżałeś w agonii.

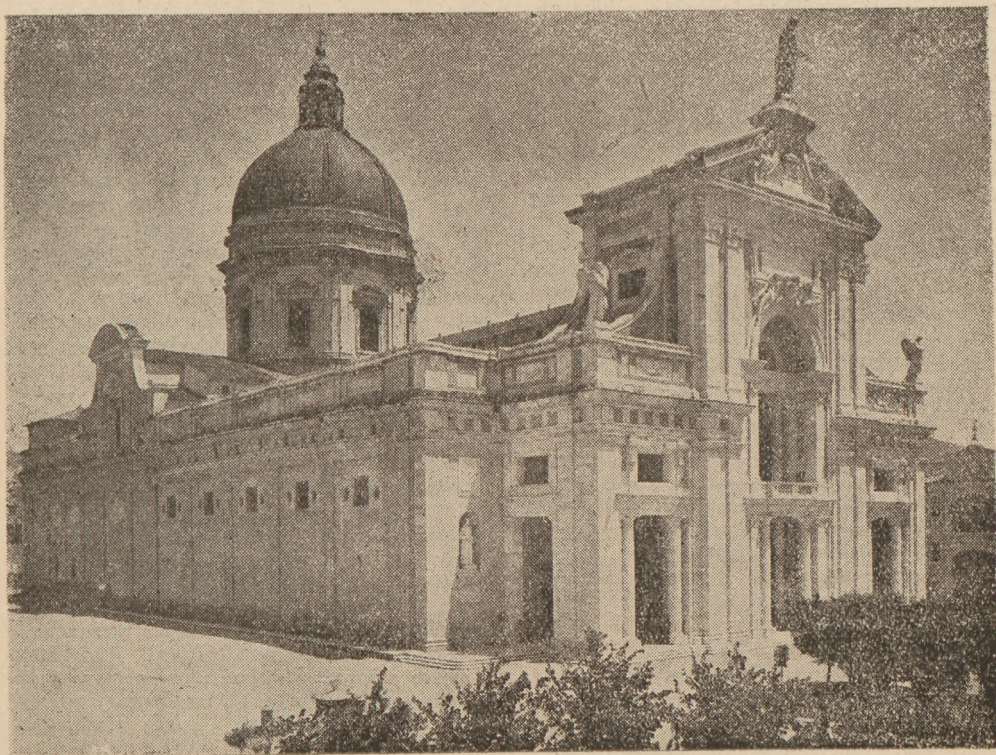
Dziś hpiec żarzy. Śpiew namiętny wzłata
z pól pracujących. Piosnka Umbrii chowa
w murach gotyckich echa Twego słowa,
Assyżu błękit cień Twojej postaci?

Na horyzoncie, gdzie wśród wzgórz miasteczko,
w łagodnym, wzniosłym i samotnym blasku,
jakby u wejścia do bram Twego Raju,

Widzę - ó: w ekstazie rozwarłszy ramiona
szepcesz hymn glorii: *"Błogosławmy Panu,
że śle łaskawą siostrę - śmierć doczesną"*.

Giosuè Carducci
(Tłum. Wł. Sznarbachowski)

Franciszek z Assyżu (1182-1226), święty *poverello*, przeczuwając nadchodzącą śmierć kazał zanieść się do Kapliczki w *Porciuncola*, którą niegdyś własnymi dłońmi odbudował i tam, śpiewając swoje hymny i psalmy Dawida, układał się na nagiej ziemi, oczekując odejścia. Nad tą kapliczką, która dziś jest jakby głównym ołtarzem, w Bazylice Panny Marii Anielskiej, Vignola wznosił w. r. 1569 słynną kopułę.



Assyż: Bazylika Najświętszej Panny Marii Anielskiej.

Bezkompromisowy

(Wspomnienie o Andrzeju Strugu)

Kiedyś spopularyzowało się w szkolnych literaturach pretensjonalne, może nawet trochę tromtadrackie określenie dla trzech poetów romantyzmu: „trójkwieździe”. I choć „Bóg litewski” nie skonfederował się nigdy z „Królem Duchem”, a Krasiński według własnego zrozumienia bronił Okopów Św. Trójcy — historycy literatury zainscenizowali to trójjprzymierze poetyckie, tak kłopotliwe dla nich samych.

Potem stało się już zwyczajem, że co najmniej dwa nazwiska wymawiano jednym tchem. Szli więc parami: Sienkiewicz i Prus, Żeromski i Reymont, Sieroszewski i Strug. Te pary pisarskie łączyła jedynie równoczesność, a dzieliło niemal wszystko, bo rodzaj pisarstwa, tematyka, stosunek do ludzi i zagadnień. Każdy z nich odmiennie rozstrzygał swoje konflikty z otaczającym go światem i każdy inaczej urzeczywistniał kształt swojego świata według swoich twórczych zasobów i osiągnięć. Uparte łączenie pisarzy w pary doprowadzało wreszcie do tego, że niezależni od siebie i własnolubni — stawali się rywalami, wbrew sobie.

Nie dobrała się zwłaszcza para: Sieroszewski — Strug. Znając ich, mogę solennie zapewnić, że nie współzawodniczyli z sobą i nie wytracali sobie nawzajem berła pierwszeństwa. Nigdy zresztą nie stawiano ich w pierwszym szeregu, gdzie w owe czasy było miejsce najpierw dla Żeromskiego, a o pół kroku za nim — dla Reymonta. Także to, że Sieroszewski i Strug wyszli z ideologii PPS, że z tej partii obaj poszli do Legionów, nie uczyniło z nich ani bliźniaczych braci w pisarstwie, ani zaciekle przeciwników. Być może, że coś z tych wzajemnych związków obu pisarzy uszło mojej uwagi, ponieważ znałam ich już w okresie rozłamów partyjnych, czy też opuszczania szeregów partii. Przegrupowania te miały bowiem jakąś wagę także i w gromadzie literackiej. Zdaje mi się jednak, że Strug, zbliżony fakturą pisarską raczej do Żeromskiego, ambitnie szukał całkowitego uniezależnienia. Znajdował je poza grupami literackimi — w samotności.

Dla pisarza samotność ważna jest po to, aby działać mogły jego odkrywcze i ogarniające właściwości. Samotny — uwielokrotnia się, przestęigając siebie i czas wyznaczony mu istnienia. W samotności dokonywa się jakby czarodziejstwo tworzenia pełnego pychy i bolesnej pokory. Ale trzeba tu zaraz powiedzieć, że twarz Struga nie ujawniała tych zmagani. Była skupiona i niemowna.

Łatwo można było Struga wyodrębnić z każdego tłumu. Siwą głowę, rysy tak akuratnie rzeźbione, że aż za gładkie i za szlachetne — przyroda modelowała według jakiejś najpiękniejszej kamei. Jego drobna, prawie nikła postać dźwigała to piękno z poczuciem

odpowiedzialności. Pamiętam go więc prawie tylko w pozycji siedzącej, którą obierał niewątpliwie dla zachowania proporcji postaci i głowy. Staranny w ubiorze, nosił krawat czarny, wiązany w dużą kokardę, przez co zapewne chciał zaznaczyć swoją przynależność pisarską do tamtych dni roku 1905. I to jeszcze, że nigdy tamten grunt nie usuwał mu się spod nóg.

Kiedy wchodziło się na zebrania literackie czy do prywatnego mieszkania, zawsze jeszcze w przedpokoju ktoś oznajmiał z przejęciem: — jest Strug! I zaraz też jego wspinała głowa, jego niezrównany profil wprawiała w zdumienie jakby po raz pierwszy widziane. Sławna duńska pisarka Karin Michaelis, przyjechawszy w gościnek do polskich pisarzy, powiedziała o Strugu: „Nigdy nie widziałam tak pięknego człowieka. Prawie zapomina się, że to wielki pisarz”. Może i u nas próbowano w tych czasach zapominąć o tym. W rozmowach literackich, krytykach, przy rozdzielaniu nagród pomijano Struga. Ale miał on zawsze zaplecze, miał swoich ludzi. Był w partii. Płastował też jakąś wysoką godność w masonerii. Szukając samotności pisarskiej, nie był więc osamotniony.

Nie wiem, czy w tym swoim środowisku znajdował miłość ludzką, to jednak pewne, że jego ludzie nie opuszczali go w żadnej potrzebie. Mocno i wytrwale tkwiąc w PPS, nie załamał się, nie odszedł — mimo wszystko. To znaczy, mimo utrudnień, pomijań, wielu wyrzeczeń. W tamtych czasach, kiedy przeobrażanie pojęć nie koniecznie bywało odstępstwem, lecz raczej „ewolucyjną celowością”, postawa Struga drażniąc przeobrażonych, budziła jednak szacunek. Kiedyś, młody, pisał „Dzieje jednego pocisku”, który nigdy nie wybuchł. A teraz pod starość jakby jeszcze ciągle ważył w rękę ten niebezpieczny przedmiot. Nie był przecież zadowolony z tego, co się działo u nas i na świecie. W swoim zacisznym, nowoczesnym domku umiał — w samotności — uprawiać wizjonerstwo. Idee i ludzi wzburzał publicystyczną swadą, aby płaskimi cieniami przebiegali przez scenę ginącego świata, jak przez kinowy ekran.

Tak jednak zdarzało się, że ten marksista ze szczególną pasją deformował realizm. Dławiony jego ciasnotą, wymykał się na bezdroża metafizyki, wzywając ratunku nierozeznanych, lecz nade wszystko potężniejszych mocy. Ratunek bywał więc w uroczym dziwactwie „Kroniki Świeciechowskiej”, w urojeniach „Kasjera Śpiewankiewicza”, w romantyzmie młodego legionisty z „Odznaki za wierną służbę” w irracjonalizmie „Mogily nieznanego żołnierza”.

Nie z tych zaświatowych blasków czy ziemskich zwątpień nie ujawniała się na obliczu

pisarza. Patrząc na jego skupioną i niemowną twarz, doznawało się wrażenia, że odgraniczył się od swojej twórczości, która jest w nim jakby sama przez się i osobno. Niekiedy jednak dostrzegało się niespodzianie jastrzębią ostrość spojrzenia jego jasnych oczu. I zaraz też psuły nieskazitelność rysów zgrubiałe, ptasie powieki. Więc była w nim ta drapieżność? I kogo to chciał dopaść, kogo unicestwić? Czy nie człowieka, czy nie tego, który gdziekolwiek jest i działa, czyni wokół siebie zło? Taki jest chyba sens jego wielkiej trzytomowej powieści wojennej „Złoty Krzyż”, w której sensacje przeganiają się z refleksyjną publicystyką, a oleiste barwy sąsiadują z liliową mgiełką impresjonistycznej tęsknoty.

Kiedy się rozmawiało ze Strugiem, wypadało najpierw pokonać opory powszednich truizmów, którymi zastaniał się, nie skłonny do bezpośredniości. Najchętniej posługiwał się rzeczowymi tematami, troszcząc się życzliwie o to, czy praca posunęła się naprzód, czy jest odpowiedni i uczciwy wydawca dla tej pracy. Nie rozprawiał o pisarstwie, nie zdradzał swoich metod i nie był też ciekawy, jak kto swoją rzecz robi. Nie wtrącał się do tych spraw, nie otaczał się młodymi adeptami. Nie promieniował, ale w pewien sposób stał na czele.

Przez kilka lat był prezesem Warszawskiego Związku Zawodowego Literatów, i choć wiele miesięcy przed śmiercią obłożnie chorował, obchodziła go bardzo społeczna praca tej organizacji. Obchodziła go też polityka literacka — w znaczeniu dosłownym. Na kilka lat przed obecną wojną zaostrzyły się bowiem przeciwności, właśnie polityczne. Walne zebrania Związku przeciągały się długo w noc. Liderzy grup przychodzili z gotowymi już formułami i podawali je w rozmaitej... formie. Rezultaty głosowań zależały od wytrwałości zgromadzonych. Te niesforne sejmiki odbywały się bez Struga, ale wiceprezes Jan Nepomucen Miller i sekretarz Edward Kozikowski mieli obowiązek zawiadamiać chorego prezesa nawet późną nocą o sytuacji. Robili to telefonicznie. Żona pisarza, pani Nelly, odbierała telefon i tak samo przez telefon przekazywała dyspozycje męża. W ten sposób zebrania literackie usurpowały sobie niejakię prawo decydowania w sprawach, których rozbieżność powstała i istniała poza obrębem literatury.

Dziś wspominam te burzliwe sesje literackie jak uroczą rewię zapалу, naiwności, temperamentów i wątpliwego krasomówstwa. Jeżeli wtedy wydawało się to wielu z nas stratą czasu, dziś rozumiem, że te młode i niemłode twarze wzbogaciły moje wspomnienia. Po wszystkich przeżyciach, zachowałam w pamięci i wyobraźni żywych i nieżyjących już. Gesty, błyski oczu, rysunek ust kształtujących słowa, dźwięk podnieconego głosu, maniery zwrotów

— zatrzymałam w tej nieznacznej transformacji, jaką powoduje czas i sentyment. Nie chciałabym dziś być uboższa o to, co mnie wtedy więcej niż było gniewało. W sali zebrania na ul. Pierackiego wnioski i rezolucje podminowane bywały już niekiedy przecuciem nadchodzącej grozy. Nie spodziewano się jednak jej przyjscia z zewnątrz. Widziano, że urasta tu, w kraju, na obraz i podobieństwo obcych wzorów. To właśnie nie dawało spokoju choremu Strugowi. To chwycił swoim jastrzębim spojrzeniem, z jednaka wrogością skierowanym na wpływy wschodu i zachodu niemieckiego. Tego się lękał, umierając. Wiec póki żył, do ostatka kierował sprawami Związku nie partyjnie, lecz zapobiegawczo.

Mimo ciężkiej choroby, pisał Strug z dużym wysiłkiem dalszy ciąg „Pieniądza” — „Miliarderzy”. Nie dokończył tej antykapitalistycznej powieści, nie uporządkował w niej trapiących go zagadnień. Wpłatawszy się w kłopoty Nowego Świata, tam dostrzegał największe szalbierstwo idei. Tam też miała wybuchnąć bomba, która przechowywał w ukryciu wieczny rewolucjonista.

Pogrzeb Struga był manifestacją nie tylko jego partyjnych towarzyszy. Coś wtedy zrozumiano innego, ponadpartyjnego. Ale było to jeszcze nie dość świadome i dlatego obliczone jedynie na efekt. Dziś wiemy już, co zniewoliło wszystkich do hołdu dla zmarłego: jego bezkompromisowość. Bo tak przeszedł przez życie Andrzej Strug. Jaką to ma wartość, pojeśliśmy dopiero w najcięższych chwilach.

Po śmierci Struga rodzina urządziła wystawę jego rękopisów. Publiczność mogła wtedy zobaczyć staranne kartki jego pisma, zdobione rysunkami na marginesach i między rzędami słów. Ujawniła się ta pracowitość nawet w dłuższym namyśle pisarza, związana z narzędziem — z piórem, które, gdy konieczny wyraz nie nadchodził w porę, splatało gałazkę. Okrecało się kwiatkiem, drząc z niepokoju i niecierpliwości. Wzruszeni tym trudem, tak samotnym i wytrwałym, poznawaliśmy dopiero tu sekrety warsztatu pisarza.

Czarna suknia pani Nelly przesuwiała się od witrzyn do stolików pod szkłem, i przez fitylki uśmiechały się oczy tej kobiety do stronic, w których za życia przed nią nawet zatajał się samotny twórca. Opowiadając o nim obcym, objaśniając, sama jakby znowu, lecz inaczej i jeszcze piękniej porozumiewała się ze zmarłym. Mówiła tklawie: „O, tyle tu narysował, bo nie szło mu wtedy łatwo, bo tak się męczył...” I tak, wiedząc już o nim wszystko, zdawała się lepiej pojmuwać, dlaczego Andrzej Strug nie raz zabłąkał się za życia w zaświatowych blaskach. Chciał trwać tu i... tam.

Herminia Naglerowa

Sztuka na rozkaz?

Do wypowiedzi dyskusyjnych na tematy kultury i sztuki, zamieszczonych w poprzednich numerach naszego pisma — dodajemy artykuł p. Kościakowskiego.

P. Pawlikowski w artykule dyskusyjnym: „Nico o cywilizacji i sztuce” *) twierdzi, że słowo kultura zachodnia nie znaczy nic, podczas gdy słowa kultura chrześcijańska i kultura narodowa oznaczają wszystko. Autor przeciwstawia „wyzwoleniu się artysty” — ład i karność, oraz jakiś „wewnętrzny sens”.

Autor życzy sobie, by powstała sztuka polska, zamknięta w sobie, odrzucająca prądy zachodnie, aby ta sztuka, część kultury narodu, była chrześcijańska, a nawet jeszcze mocniej — katolicka. Oto sens, który wyłuskałem z artykułu, a sens to — reakcyjny.

Autor twierdzi, że bijemy się o kulturę narodową w ramach kultury chrześcijańskiej — ja twierdzę, że bijemy się o niepodległość i demokrację, które pozwolą nam rozwijać swobodnie charakter narodowy w ramach kultury zachodniej.

Kultura zachodnia nie spadła z nieba — dojrzała w czasie — tworzyły ją wieki, wykwiłała ona ze starożytnych kultur śródziemnomorskich, nasyciła się chrześcijańską etyką i jest syntezą ducha starożytnego wschodu i łacińskiej Europy. Ważne jest, że kultura zachodnia rozwija się wciąż, nie kostnieje.

Myśl starożytnego świata uformowała naszą myśl. Renesans włoski, — to podanie się ludzkości, po latach ciemnego średniowiecza, urokowi ducha i myśli starożytnych filozofów, uczonych, artystów i poetów. Z chwilą, gdy Papież zażądał, by artyści pokryli mury Watykanu nagimi ciałami bogów greckich i filozofów, gdy Wenera znalazła się nieopodal Madonny, gdy Rafael, w stanzach namalował obok dysputy o Eucharystii — szkołę ateistyczną. Jasnym się stało, że bizantyzm stracił ostatnią redutę, zwyciężyła miłość przyrody i radość życia.

P. Pawlikowski, podrażniony sprawą konieczną dla artysty: „wspięciem się jego na plan zupełnego wyzwolenia się”, przeciwstawia temu wyzwoleniu się ład i karność, określenia pachnące totalizmem i bardzo niejasny „wewnętrzny sens” — na tych trzech rzeczach ma polegać „sens odpowiedzialności”, również sprawa mętna — bo przed kim artysta ma odpowiadać, przed tłumem, czy przed wodzami narodu, komu i na co potrzebna karność i posłuszeństwo artysty?

Artysta odpowiedzialny jest przed historią i po prostu zaniknie w niej, jeśli jest tylko meteorem, jeśli nie pozostawi dzieł wiecznie żywych. Dotąd było tak, że ludzkość pomijała twórców, którzy nie wyrwali się ponad nią pracą, lub przypadkiem. Van Gogh przymierał z głodu przez całe życie — nikt go nie potrzebował. Cezanne’a obrazów nawet darmo brać nie chiano, impresjonistów obrzucano inwektywami — dziś artyści ci są, obok Leonarda i Michała Anioła — wieczni, bo opanowali społeczeństwo, narzucili swoje prawdy. Prawdy te nie doszły do świadomości p. Pawlikowskiego. P. Pawlikowski mówi wiele o sztuce narodowej. Takiej sztuki nie ma. Tak, jak nie ma sztuki klasowej, socjalistycznej, ani komunistycznej, ani żadnej innej propagandowej, — bo sztuka, to nie treść propagandowa, to treść artysty, objawiona formą. Dziś, gdy przestrzenie się skróciły, korzystamy z lekcji sztuki wszystkich epok. Dziś istnieje sztuka zachodu, ośrodkiem której jest Francja, przetwarzająca elementy przyrody i wszystkich sztuk w ciągłym doskonaleniu środków wyrazu. Wielkością kultury zachodniej jest, że umie czerpać wiedzę zewsząd.

Smutne jest, że są jeszcze ludzie tkwiący w czasach przed — Stendhalowskich, przed Baudelaire’owskich, których ideałem jest monachijski oleodruk, lub — co jeszcze gorzej — którzy mówią słowa maskujące wewnętrzną pustkę. Dziś, gdy narodziła się nowa estetyka Surrealistów, ojcem której jest Poe i Baudelaire i Rimbaud i Mallarmé i Cezanne i Van Gogh — znajdują się mali, którzy nie mając o sztuce poję-

*) Patrz numer 2-3 „Na szlaku Kresowej”.

cia, nazywają wszystko, co dla nich za wielkie, anarchizmem. Niekonsekwencja jest głosić prawdę, że Polska jest bastionem zachodniej kultury i twierdzić jednocześnie, że dosyć mamy tej kultury, że wogóle ta kultura nie istnieje, że trzeba się zamknąć od zachodu i od wschodu i wyrugować to, co obce, nie narodowe. P. Pawlikowski, negator kultury zachodniej, wyrugowałby z Polski po kolei wszystko, co obce — więc całe malarstwo wraz z Matejką, którego tematyka polska i patriotyczna — jednak szkoła malarstwa niemiecka, monachijska. Następnie zniszczyłby rzeźbę polską, przede wszystkim rzeźby Wita Stwosza, bo to gotyk, niegdyś mowinka niemiecka. Potem przyszedłby kolej na muzykę, bo ojciec klasycyzmu — Bach i inni wielcy kompozytorzy — to Niemcy. Potem architekturę niepolską należałoby zniszczyć, prawo rzymskie, kodeks napoleoński, fabryki, przemysł — wszystko co dała kultura i cywilizacja zachodnia. Pozostalibyśmy wreszcie przy chacie Piasta Kołodzieja ze słomianą strzechą, z bogiem Światowidem i drewnianą sochą. Takby zrobił p. Pawlikowski, gdyby chciał być konsekwentnym i czekałby, aż „sztuka narodu wybije sobie pewien styl”. Ciekawe, czy obraz malarza

polskiego, na którym figuruje wielbłąd, miałby styl narodowy, czy też nasz malarz nie powinien malować wielbłądów, stworzeń obcych naszemu duchowi i stylowi, a tylko sceny historyczne i religijne.

Zwycięstwo zachodniej demokracji, to zwycięstwo ducha Zachodu nad totalizmem, w którym człowiek istnieje dla państwa, nie państwo dla obywatela, w którym państwo nie potrzebuje indywidualności, w którym sztuka zamienia się w propagandę ustroju. W państwach totalistycznych podniósł głowę akademizm, wyrzucany z Zachodu. W Niemczech i Rosji akademicy zaczęli malować i opiewać Hitlera i Stalina, forma ich dzieł pozostała nijaka, pozbawiona wyrazu artysty, fotograficzna — bo o temacie chodzi nie o sztukę.

W Niemczech i Rosji sztuka oryginalna nie istnieje, gdyż zdusiły ją: rozkaz, karneć, Gestapo i NKWD.

P. Pawlikowski, mówiąc o kulturze narodowej i katolickiej, której ma służyć sztuka-mysli o temacie, nie o istocie sztuki.

„Wyzwolenie się artysty” określa doskonały ład i harmonia, panujące w jego dziele oraz karność wobec własnej koncepcji.

Marian Kościatkowski

Matarcie

Dzień „D”,
godzina „H”,
na telefonach,
radiostacjach,
w mózgach,
nerwach,
na skrzyżowaniach dróg,
w pracy R.R.,
w rozwidleniach kątów,
w mięśniach nóg,
na P.D. całego frontu,
na wszystkich drutach
i wszystkich falach,
zbliża się i oddala
— drga

— godzina „H”.

W długiej godzinie „H”, jakiejś wiosennej godzinie,
wyleci w powietrze front na zapomnianej minie.

W minucie godziny „H”, jakiejś szalonej minucie,
pęknie błękitnej rzeki szaro — stalowe okucie.

W sekundzie godziny „H”, w zawrotnym skrócie myśleń,
historia otworzy szlak ku rozbrojonej Wiśle.

Uderzyliśmy piersiami i stałą,
strachem rannych i żywych odwagą,
bagnetami o miękką ziemię,
granatami w niemiecki schron.

Uderzyliśmy frontem płaskim,
namiętnością, bólem i powagą,
tym, co było i tym, co będzie,
po rękojeść i garść zawartą
wbiliśmy

— ogniem zdartą

— broń!

A w opłotkach pachniały kasztany,
melodyjnie szumiały kasztany,
o niemocy dziewcząt różowych,
o miłości par zakochanych.

A w ogrodach rozdartych wojną,
i na kwiatkach splamionych krwią,
nucił wieczór piosnkę upojną,
zapomnianą, wiosenną, ckną ...

Ruchem, rytmem, gwarem i rozgwarem,
poszły czołgi na bezdroża pyłne,
ponad wolę, moc i ponad miarę,
coraz twardziej, głębiej, coraz silniej,
dysonansem stali o zieloność,
krzykiem bieli i swądem mdłym —
— poszły czołgi w noc i szary dym,
w krew,
śmierć
i w wolność!

Ogłupiała, szalona, namiętna,
podniecona zygzakiem marszruty,

wyskoczyła piechota w ogień,
w krzaki, rowy, zasieki i druty.

Rozkiełzana, niepomna, szalona,
opętana żelazna dziewczyna,
poszła dumna piechota po schronach,
po mogiłach, ogrodach i minach.

Poszła w ogień, przestrzeń i zapórę,
hukiem butów, szezękiem i człowiekiem.
Uderzyła piersiami w Senio,
wzięła wał,
most
i wzięła rzekę!

Witold Szyfer

Już jutro Bolonia

Chłopcy, którzy przyszli ze wszystkich dróg świata, młodzi, rumiani chłopcy zebrali się w zgrany batalion, w jednolity oddział, w grupę o potężnej sile. Chłopcy, którzy przyszli z niewoli niemieckiej, chłopcy z Francji, Rosji i Szwajcarii wypisali sobie piękne karty historii w ciągu ostatnich walk. Nad rozkwitającym, zielonym i wiosennym pasmem Senio byli pierwszym baonem Brygady, który przeszedł rzekę. Ich dziełem był pościg na Santerno, oni równoległe z całością forsowali dziesiątki kanałów, dziesiątki rowów, setki młynowych pól. Wszędzie brali jeńców i wszędzie ślad swojego postępu znaczyli krwią. Długa i żmudna była wędrówka, ciężka i często niewdzięczna. Zawsze wykazywali w niej dużo hartu, dużo poświęcenia, bohaterstwa i męskiego traktowania wojny. Patrząc w ich fanatycznie gorejące oczy można śmiało powiedzieć, że batalion bez skazy dojdzie do Polski.

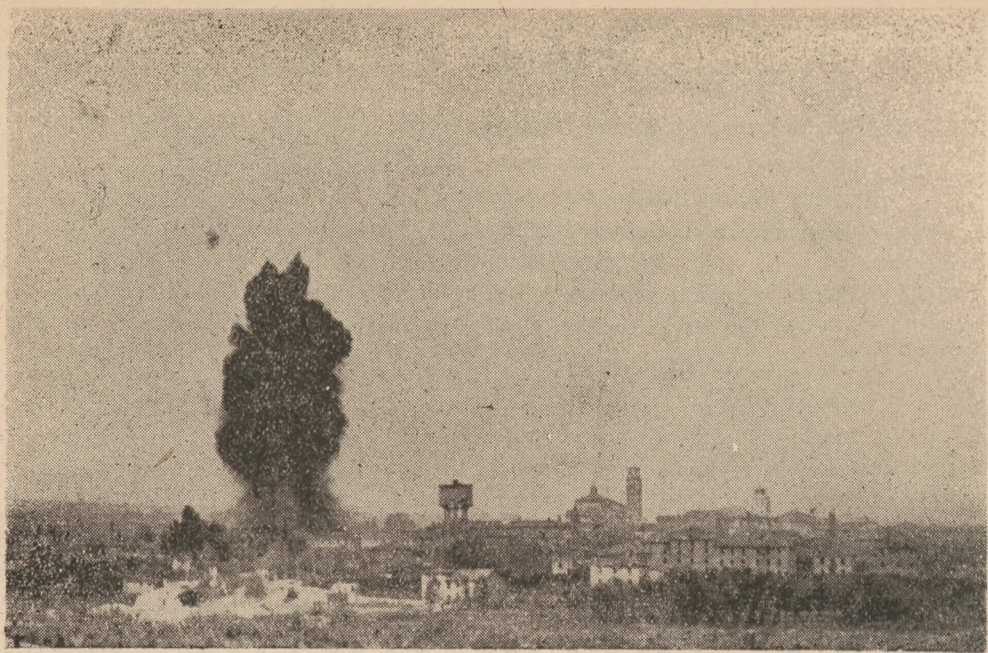
Zadaniem tego reportażu, jak zresztą zaznaczyłem w tytule, jest oddanie prawdy historycznej, która stała się faktem dokonanym na przedpolu kanału Gaiana. W topograficznych ramach, wyznaczonych mniej więcej przez Posse Polino i San Lorenzo, zaległy na podstawach wyjściowych podprowadzone nocą kompanie. Przywarły do ziemi, zjeżyły się lufami broni maszynowej, zaczęły do skoku i wsłuchane w nawałę wspierającej artylerii planowały skuteczność natarcia.

Dowództwo batalionu, kwaterujące poprzedczas w Loco Rinaldi, przeżywało gorący dzień. Temperaturę bitwy wyczuwało się wszędzie. Promieniowała na drodze do frontowej, falą ciepła biła na punktach dowodzenia, rozpalała się do czerwoności w plutonach.

Dowódca Brygady przez cały czas śledził tok działań, dowódca batalionu żył nerwami płynących godzin. Zachowując imponujący spokój najgłębiej przeżywał i analizował każdy krok, rozważnie i po namyśle pobierał decyzje. Oficerowie i sztab wbijali oczy w mapę, cały mózg dowodzenia koncentrował się na wąskim odcinku dwóch kilometrów.

Koncert zaczęła artyleria. Z przewlekłym gwizdem leciały nad nami ciężkie granaty, cichły w perspektywicznej głębi frontu i głucho wybuchały na kanale. Kłęby białego kurzu i słupy czarnego dymu strzelały z niemieckich stanowisk. Potoczyły się długie minuty piekielnego ognia, minuty, które prowadziły do godz. 8-ej rana 19 kwietnia. O godzinie tej poszło frontalne natarcie na wał, poszło i utknęło w pół drogi. Utknęło dlatego, że dwa niemieckie pułki, doskonale wyposażone i świetnie okopane, broniły dojsčia. Utknęło dlatego, że taktycznie przewidziane wsparcie i ubezpieczenie musiała przejść w równoległe do sąsiadów łamanie przeszkody.

Każda bitwa i każde działanie ma posmak kuszącej sensacji, jeżeli patrzy się na nie z boku. Wtedy można odczuć sub-



Imola przed wkroczeniem oddziałów 2. Korpusu

Fot. K. Hryniewicz

telnie wszystkie najdelikatniejsze drgania ludzkich zmagani. Można wtedy oglądać rozplamione twarze dowódców, zadyśnięte piersi gońców motocyklowych i sieć drutów telefonicznych, po których płyną rozkazy. Bo wojna, to jest maszyna idealnie ząbiona. Ktoś mówi w Loco Rinaldi, ktoś drugi słucha w pachnącej winnicy, ktoś trzeci wreszcie poprawia dyskusję na P.D. A wszystko to poto, aby w niemieckie bunkry uderzyły nasze granaty. Wszystko poto, aby zmieszana z ziemią piechota mogła uderzyć drugi raz.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że każda walka większego oddziału składa się z powiązanych fragmentów odcinkowych działań. Tak było i tym razem, Operujące w lewo kariery uwijały się jak w ukropie. 8 wozów wychodziło na przedpole, 8 wozów dostawało ogień i 8 wozów wracało do Casetta Vigna, aby uzupełnić amunicję. Przez świeżą trawę, szykiem rozwiniętym, wspierając się wzajemnie podchodzili pod kanał. Z karabinów maszynowych i z wysmienitych Płatów walił się w niemieckie schrony grad pocisków. Dowodzący plutonem kierował całością. Był świadkiem pięknych wyczynów, widział skuteczność walki i pieniał się na niemiecki opór. On też pierwszy o godz. 4-ej zapoczątkował branie jeńców.

Batalionowe morderze pobili rekord wszelkiego strzelania. Z czterociałowych

rur wyleciało na drugą stronę frontu 1280 pocisków. Wiele z nich padło w cel, wiele z nich było powodem, dla którego rozpoznawczy pułk nieprzyjacielski nie wytrzymał szturm.

Następnego dnia rano spotkałem się z dowódcą batalionu, kpt. L. W małym, nadzarpniętym granatami domku po drugiej stronie Gaiano. W tym czasie rozpoznawczy był już za kanałem Budrio, za rzeką Quaderna, za wszystkimi zaporami, z których uciekali cofający się Niemcy.

— Jestem w pełni zadowolony — powiedział dowódca. Wziąłem 30 jeńców i przełamałem dwa kanały. Mam straty. Nie żyje podch. Nowicki, nie żyje wielu innych, są ranni.

Na twarzy jego i w oczach malowało się piekielne zmęczenie. Mówiąc, tarł czoło i myślał, jak gdyby ważył każde zdanie.

— Dużo zawdzięczam lotnictwu — padały dalsze słowa. Niech panowie im jakoś za to podziękują. Serca nasze i żołnierska pamięć będą zawsze przy naszych dzielnych Spitfeirach...

Batalion zszedł do odwodu. Zszedł poto, aby tego samego dnia wieczorem otrzymać rozkaz dalszego działania.

Może jutro już będzie Bolonia — mówili zmęczeni żołnierze.

I była Bolonia.

Korespondent

Via Romagnola

Pani Barbarze J-e

Droga, na której słońce
wpina dziewczętom we włosy
złote płomienie,
serce ludzkie płonące
płynie po rannej rosie
— wokół milczenie.

Droga, na której moździerz
ryją krwawe stygmaty:
wojenne rany;
padli tu dzisiaj saperzy,
pośród granatów
zza gór wysłanych.

Po romagnolskiej drodze,
jak po nieznanych strunach,
płynie wojenna melodia:
tragizm zadumań.

Prócz igły boskiego światła —
nie chcę już więcej niczego.
Wiem, że nie tutaj szukać
życia prostszego.

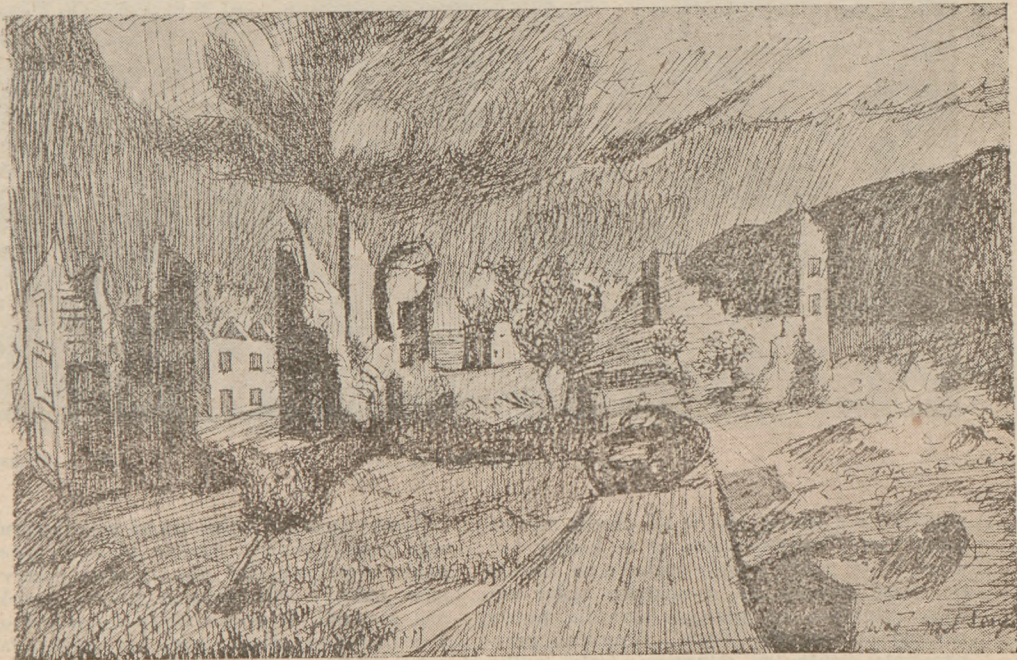
Droga, do której szliśmy
przez cały świat,
idą zwarte szeregi
przepadłych lat.

I znowu przeciągły gwizd
poprzedza upływ krwi.
W upale wojennych godzin:
ostatni krzyk.

Twardym wije się życiem
Via Romagnola.
I szczęścia na niej nie więcej
niż w polskiej doli.

Rwą się gęsto pociski
na znanej Vii,
i nocą niebo błyska
dla tych, co na niej się bili.

Jerzy Bazarewski



Wielki nad Senio

Rys. M. Kościakowski

Przechodzimy przez Gaiano

Dzień jest bardzo jasny i słońce dopieka wcale niezłe, chociaż nie ma jeszcze godziny ósmej. Stoimy wszyscy — to znaczy paru korespondentów wojennych, kilku fotografów i wogóle kibiców akcji — na dachu napół zburzonego domu, gdzieś w okolicach rzeki Gaiano i czekamy na początek zapowiedzianego natarcia. Pomimo, że dom jest wysoki, nie widzimy stąd Gaiano. Przesłaniają ją nie tyle szpalery drzew, czy domy, czy jakieś tam krzaki, ale po prostu rzeka ukryła się przed naszymi oczyma w terenie tak beznadziejnie płaskim, tak pozbawionym wszelkich wyniosłości i spadków, jak gdyby na tej ziemi, w tej części Włoch rozlewniwna do reszty natura nie chciała się popisać cieniem jakiegokolwiek fantazji, jakiegokolwiek pomysłu. Ludzie zdobyli się na większą inicjatywę. Urozmaicili monotonną równinę i melancholie rzeki odwadniającymi kanałami, rowkami, wałami przeciw powodziom i ta ludzka właśnie

przez ten nasz dzisiejszy, rozsloneczniony ranek wali artyleria na niemieckie stanowiska. Pocisk za pociskiem znęca się nad bunkrami nieprzyjaciela, ziemia wylatuje jakby fontannami ku górze, tu i ówdzie ciągnie się linia pożarów. A „oni” nie. Nie drgną nawet swą linią do tyłu, nie chcą ustąpić, nie chcą odejść. Dlaczegożby zresztą mieli odchodzić? Dobrze zbudowane bunkry, umocnione a przemysłne schrony dają nieomal że zupełne bezpieczeństwo. Wyjście z nich na zewnątrz, to dopiero zniszczenie i to dopiero śmierć. Napewno lepiej jest siedzieć. A poza tym mamy naprzeciw siebie najbardziej wyborowe wojsko niemieckie: spadochroniarzy.

— Jeszcze pięć minut — mówi ktoś wskazując na zegarek.

— Za pięć minut i my będziemy musieli ruszać, aby podjechać trochę do przodu — oświadcza ktoś inny zmęczonym głosem.



Nad Gaiano

Fot. J. Michalski

współpraca z naturą jest w tej chwili naszym najwiskszym zmartwieniem. O te kanały bowiem, o te rowki i wały nadrzeczne rozbija się nasze natarcie od dwudziestu kilku godzin. Napróżno na prawym skrzydle poszły wczoraj do natarcia „Rysie”. Napróżno przypuszczają szturm za szturmem czołgi pulku „Skorpionów”. Napróżno przez cały dzień wczorajszy, przez połowę nocy dzisiejszej i

Powietrze drga i ugina się od hałasu, czynionego przez wybuchy. Nawala zdaje się osiągać punkt szczytowy. Już nie słyszymy przerywanego huku i jednostajnego śpiewu pocisków nad głowami. Wszystko zlewa się w jednolitą i jednostajną całość, tak, jak gdyby jakiś potwornych wymiarów żelazny walec przesuwat się z piorunującą szybkością po drodze ułożonej kamieniami, płytami stalowymi i

szkłem. Jest w tym właśnie i stuk, i huk, i zgrzytanie, trzaski czegoś co pęka, rozlatuje się i rozpada na drobne kawałki.

Mija już prawie owe oczekiwane pięć minut, gdy do tych hałasów dołącza się nowy, brzmi jak warkot i kończy się głuchym, mocnym uderzeniem: niemieckie moździerze. Sześciolufowe nebelwerfery przypomniły sobie i nam o swym istnieniu i rąbnęły ze wściekłym zapalem. Gdzieś niedaleko za nami wykwita z ziemi kolebiący się z boku na bok stożek wybuchu. Obok niego kilka innych. Równocześnie zaczynają ujadać spandau'y. Natarcie nasze poszło do przodu. Schodzimy na dół.

— Radzę panu — mówi ppłk. J., dowódca brygady „Wileńskiej” — pojechać najpierw do batalionu „Zbików”. Mam wrażenie, że oni najwcześniej przejdą za rzekę.

— A środek? A „Wilki”? — pytam.

— Środek ma zadanie najtrudniejsze — odpowiada dowódca brygady — środek będzie miał chyba najdłuższy opór ze strony nieprzyjaciela.

Istotnie, pułkownik ma rację. Szturm, przypuszczony przez „Wilków” przez całe kw-

— Co tam lewa łapa — mruczy, jakby się usprawiedliwiał przed kolegami — zgarnę po jakimś facecie schmeiser z ziemi i obleci...

Ale innym powodzi się gorzej. Oto ktoś wali się na dno wąskiego parowu i pozostaje już tam bez ruchu. Ktoś inny stacza się za jego przykładem. Straty w plutonach i w kompaniach rosną. Pomimo miażdżących bomb lotniczych, pomimo druzgocącej działaności artylerii, niemieckie spandau'y uchowały się przed zniszczeniem. Wydaje się pod ulewą pocisków, że nie ubył ani jeden z nich, że śmieją się teraz i kpią ze wszystkich wysiłków, które miały na celu zmuszenie ich do mileczenia.

Trochę w lewo od przyduszonego na wale batalionu, czołgi szwadronu „Skorpionów” osiągają swój pierwszy sukces. Staczają się leniwie po nadrzecznym wale i kołyszac się silnie, chrzęszcząc po płytkiej powierzchni rzeki, przeciskają się na tamtą stronę. Bezsilnie irytują się spandau'y. Gdzieś daleko za czołgami zloszcza się niecelne pociski nebelferferów. Czołg dowódcy pierwszego plutonu



Plakaty polsko-włoskie w Imoli

Fot. K. Hryniewicz

dranse nie może przełamać niemieckiego oporu. Nawet są chwile, że z nadrzecznego walu piechota nie może swych głów wychylić. Z bunkrów zachylają się własnym ogniem spandauy. Strzelec Walerian Z. poprawia obserwację na głowie hełm. Moment uniesienia ręki wystarcza Niemcom: z dwoma kulami w ramieniu strzelec Z. zsuwa się do dołu. Po kilku jednak minutach powraca.

gramoli się na tamten brzeg. Za nim włączają następne. Już cały pluton na beznadziejnie gładkiej powierzchni grupuje się do natarcia. Celowniczość zmieniają kąt strzału. Dowódca plutonu nerwowo przeciąga ręką po spotniałej, niegolonej twarzy. Dobrze wie, o jaką stawkę tu chodzi: udane natarcie i piechota nareszcie będzie mogła się przerwać przez doskonale ciągły pierścień ognia.

— Zabrakło nam amunicji, — słyszy dowódca plutonu w słuchawkach pierwszy mel-dunek.

Za nim idą następne. Pierwszy pluton czoł-gów, który znalazł się na opanowanym przez



Rys. A. Werner

Działo Lwowskiego PAL-u

nieprzyjaciela brzegu Gaiano, wyczerpał swą amunicję. Stoi teraz nieruchomo, nieomal na łasce nieprzyjaciela, prawie że bezużyteczny, tylko tylko, że zajmuje jakiś skrawek przestrze-ni, tyle tylko, że może być wadą — o, jakże wadą — osłoną dla następnych fal natarcia Kresowej.

Co robić? Ładowanie czołgów, to praca pra-wie półgodzinna. Ładowanie w tym ogniu jest niepodobni twem. Z tamtej, z naszej strony Gaiano, przychodzi szybka decyzja:

— Czekać i przepuścić przez siebie drugi pluton.

Ale już na lewym skrzydle „Zbikom” zaczy-na powodzić się coraz lepiej. Łazik prasowy dojeżdża do nich w chwili prawie ze triumfu. Stojąc o paręset metrów widzimy jak na ekranie piorunujący i naprawdę filmowy przebieg zdarzeń. Wepchnięta przed kwadransem jeszcze w krzaki, w ziemię, nieliczne i płytkie faldy terenu piechota, zsuwa się teraz błyskawicznie po niewielkiej pochyłości ku rzece. Już ją przekracza po faszynach, po kładkach, po deskach, rzucanych gęsto przez siebie. Już jest na tamtej stronie. Za nim gruchoczą czołgi. Jeszcze mi’a kwadrans, jeszcze pół godziny. O godzinie dziewiętej pięćdziesiąt pięć „Zbiki” mają swój przyczółek.

Niemal równocześnie na prawym skrzydle naszego natarcia wydarza się rzecz w dziejach włoskiej wojny sensacyjna. Nasi chwytają

niezniszczony, caluteńki, w doskonałym stanie most. Dlaczego go Niemcy nie wysadzili w powietrze? Oto pytanie, które od dwudziestu czterech godzin nie dawało nie tyle spać, ile spokojnie i rozważnie myśleć wszystkim naszym dowódcom.

— Nie mają widocznie dranie amunicji — wyrażono przypuszczenie.

— Albo może szykują wypad — gubiono się w domysłach.

— Lub podminowali most na czas — oba-wiano się.

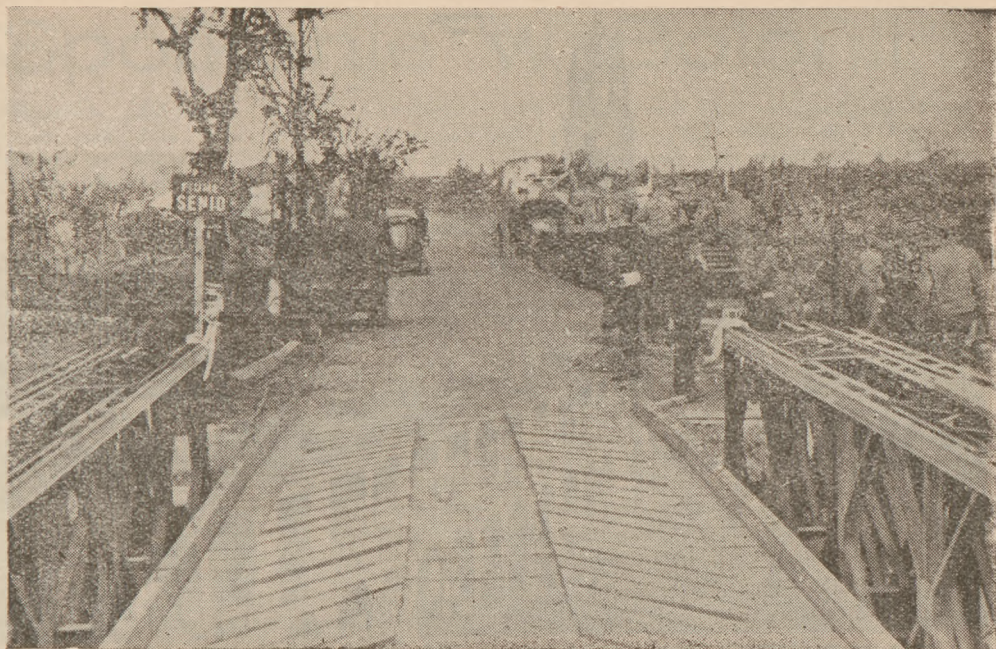
Gdy na krótko przed godziną dziesiątą pierwszy nasz czołg stanął na przedmościu, aby rąbnąć z odległości niewielu metrów w nie-mieckie bunkry, spod jego gąsienic trzaśły kłęby dymu. Miny. Czołg przestał istnieć. Na-stępne jednak doszły do linii rzeki bez wy-padku. Systematyczny ogień dział czołgów zaczął się przejeżdżać po stanowiskach nieprzyjaciela. Może nawet więcej, niż ogień. Raczej jakieś uniesienie, jakaś histeria, jakiś szut. Milkną zdala nebelwerfery. Przystają faty-gować się spandau’y. Niemiecki brzeg rzeki skupił się w sobie, przycisnął, najwyraźniej w świetle postanowił przeczekać. Rachunek jest prosty: teraz oni, a potem my. Taka zmiana ról, taki kontredans, prawie walc: raz na lewo, raz na prawo. Tym razem jednak nie będzie zmiany ról i nie będzie kontredansa. Równo-cześnie nieomal z ostatnimi pociskami naszych pancerniaków wpadają do niemieckich stano-wisk rozelżone do ostatnich granic wytrzy-



Rys. A. Werner

Na centrali strzelniczej

małości „Rysie”. Zastają Niemców w pozy-cjach, które w tych warunkach muszą wyda-wać się komiczne. Szwaby siedzą skulone, z rękoma na szyjach, tak jakby wiedzieli, że idą do niewoli.



Most na Senio

Fot. K. Hryniewicz

— Spadliście, jak wystrzeleni z waszych własnych dział — przyznają się później z przerażonym zdziwieniem. Most został wzięty.

Natarcie w tej chwili przypomina naciągniętą do ostateczności cięciwę łuku. Końce łuku, a więc „Zbiki” i „Rysie” posuwają się zdobycznym brzegiem rzeki coraz dalej i dalej naprzód. Środek pozostaje nieruchomy. Wreszcie i on, tak jakby właśnie ręka, która go trzymała-otwarła się nagle, rusza gwałtownie przed siebie. W przeciągu paru minut łuk przestaje istnieć: jest wyciągnięta i równa, chciałoby się nawet powiedzieć wyrównana linia już nie natarcia, a pościgu, który pędzi i pędzi Niemców coraz dalej.

... Korespondenci i fotografowie posuwają się za tą linią. Mijają drogowskazy w języku niemieckim. Przejeżdżają przez porzucone maski i kurtki i broń. Cieszą się, jak zwykle kibice, każdą najbliższą nawet zdobyczą. Nie tylko spandau'em czy schmeiserem — nawet hełm wywołuje okrzyki zachwyty.

— Patrzcie, niemiecki cmentarz — woła jeden z nich zdumionym głosem.

Stajemy przed tym cmentarzem, przechodzimy wzdłuż grobów, a potem zatrzymujemy się jeszcze przed dużą bramą.

„Spełniliśmy nasz obowiązek” — czerni się melancholijnie niemiecki napis u góry.

Z domu, na wprost cmentarza, wybiega ku nam uradowany, podniecony włoski contadino. Wykrzykuje coś gardłowym głosem i wymachuje nieprzytomnie rękoma. Po długiej dopiero chwili orientujemy się, że radość i podniecenie Włocha nie mają nic wspólnego ani z naszą wojną, ani z naszym zwycięstwem.

— Urodziło mi się dziecko — drze się — urodził mi się syn...

Jedziemy dalej w ślady wojny. Tej wojny, która idzie wciąż naprzód, zostawiając za sobą przebrzmiałą śmierć cmentarzy i nowe, dopiero zrodzone życie...

Marek Święcicki

Cleo

Mogłaś być wielkim przeżyciem

A byłaś tylko przygodą —

Nierzeczywistą jak echo,

Nietrwałą jak sopel lodu.

Mogłaś być cudnym piorunem,

Co w splot słoneczny uderza,

A byłaś słodkim piołunem,

Przelotnym szczęściem żołnierza.

Seweryn Ehrlich



Faenza: centrum miasta przed wojną

Faenza

Powiało poświatą sinawą
Po niebie tonącym w pomroce.
Weselny wzniosł się baldachim
Stu reflektorów siklawą
Nad mosty, wieże i dachy,
Lśniący od gwiazdnych pozłocień.

Narasta pomruk odległy
I miesza się z grzotami móżdziejy.
I wkrada się w łoskot spandau'ów,
I biją działa nawałą,
Aż w otchłań się ziemia zapada.
W głuchym baterii jazgocie,
Pocisk znienacka przybiegły
Krwawym szeszekaniem ujada,
I pryska rozbryzgiem po błocie,
I rwie się na strzępy i drzazgi,
I węszy i szuka i tropi
Za ludzką struchlałą zwierzyną,
Aż w mięsień drgający się wtopi,
Aż setki i setki poginą,
Aż nic nie zostanie, prócz miazgi.

Dlaczego odeszłaś ode mnie,
Maskotko z ceramiki wiotkiej?

Wydała cię ziemia Faenzy,
A biegle ręce artyści
Strudzone nie nadaremnie
Uśmiech ci dały dziewczęcy,
I oczu blask powłóczysty,
I połysk lukrowej błyskotki.

Schroniłaś się w klatkę witryny,
Aby nie patrzeć już więcej
Na gruzy i szecerby Faenzy,
Na porzucone ruiny,
I by się dłużej nie sęczył
W twe uszko pogwar armatni
Nieubłagany, surowy ...
To dzień był szczęścia ostatni —
Odeszłaś — i tak się zakończył
Nasz romans majolikowy ...

I znów spowijają uściski
Nieprzeniknionej ciemności
Serce, bijące na trwogę,
I mózg, gdzie wznecają pożoge
Rakiety i świetne pociski,
Jedyne heroldy światłości.

Wiktor Szach

Spotkanie w Bolonii*)

Właściwie zdobywanie Bolonii rozpoczęło się od tego dnia, kiedy ruszyła wiosenna ofensywa we Włoszech. Niemcy, spychani potężnymi uderzeniami 5-ej Armii od południa i 8-ej od wschodu, pomimo zacieklej obrony na znakomicie rozbudowanych w ciągu zimy pozycjach, — musieli się wycofywać.

Kiedy wreszcie w nocy 20 kwietnia czołowe elementy 2-go Polskiego Korpusu, który za-chodził Bolonię od północnego wschodu, prze-kroczyli rzekę Idice, ostatnią i najpoważniej-szą linię obrony — losy Bolonii zostały prze-sądzone. 21 kwietnia z rana na placu Wiktora Emanuela przed wspaniałą starożytną katedrą Św. Petroniusza, patrona Bolonii, żołnierze polscy i amerykańscy podali sobie ręce.

Do miasta wjeżdżałem z batalionem woły-niaków, którzy w składzie Dywizji Kresowej przedzierali się do Bolonii od wschodu. Szeroka, asfaltowa szosa była zasypana gruzem, grudami ziemi, gałęziami drzew. Po bokach paliły się jeszcze stogi słomy i zbombardo-wane domy. Szliśmy gorącymi jeszcze tropa-mi wojny. Przed nami jechały czołgi Kre-chowieckich ulanów, obok szły plutony pie-choty wołyńskiej, w szyku bojowym, gotowe w każdej chwili do rozwinięcia się w akcję. Ale Niemców już tu nie było. Od czasu do czasu tylko rwały się w pobliżu pociski ich ciężkiej artylerii, dając znać, że nieprzyjaciół jest i czuwa.

W miarę zbliżania się do miasta napoty-kaliśmy na coraz liczniejszych cywilów, jadą-

cych na rowerach nam na spotkanie. Wyma-chiwali kapeluszami, wiwatowali i krzyczeli, ale nie zatrzymując się pedałowali dalej. Byli to mieszkańcy okolicznych osiedli, którzy w ostatnich dniach schronili się do Bolonii przed działaniami wojennymi i teraz śpieszyli do swych domów.

Niewesołe perspektywy oczekują tam tych biedaków. Większość z nich znajdzie tylko dymiące zgliszcza, gruzy, i nic ze swego do-bytku. Niemcy bowiem rabują tu literalnie wszystko co im wpadnie pod rękę...

Na przedmieściach Bolonii coraz większy tłok. Grupki rozentuzjasmowanej ludności co-raz liczniejsze. Na ulicach śródmieścia stoi już zwarty tłum, tak, że posuwać się naprzód jest bardzo trudno. Co kilkanaście kroków musimy stawać. Wtedy rozkrzyczany tłum do-słownie oblepia nasze wozy i kariery. Klepią nas po ramionach i twarzach, całują, cieszą się i krzyczą. Wzdłuż ulicy stoją czołgi Kre-chowiaków. Nie zatrzymały ich niemieckie ar-maty i panzerfausty, nie zatrzymały miny i przeszkody — tutaj stanęli bezradni przed entuzjazmem tłumu. Czołgów nie widać spod oblepiającego je mrowia ludzkiego. Na dłu-gich lufach dział, jeszcze tej nocy ziejących śmiertelnym ogniem, teraz siedzą szeregiem roześmiane dzieciaki. Pełno ich wszędzie. Ka-żdy ulan ma ich po kilkoro na kolanach i tuląc do piersi kędzierzawe główki dziecięce

*) Audycja radiowa dla Voice of America.



Powitanie żołnierzy polskich w Imoli dnia 14 kwietnia 1945 r.

fol. K. Hryniewicz

i okrągłych. Posunę się nawet dalej. On nawet na tyłach będzie niezdyscyplinowanym żołnierzem. Ten milioner, który może sobie pozwolić na wszystko. Gaża dla niego jest tylko dodatkiem, a dyskwalifikacja i wyrzucenie z wojska byłoby tylko przyspieszeniem przejścia w okres słodkiej „prosperity”.

Rzeczy pozytywne trzeba rzeczywiście budować na realizmie.

Tak się już w tej wojnie, a specjalnie w jej obecnej fazie złożyło, że Polska postawiła na idealizm. Kalkulując, możemy sobie powiedzieć, że nie posiadamy w aktualnej sytuacji wiele tej siły rzeczywistej: w czasie — kiedy siła panuje nad prawem, kiedy siła brutalna wydaje się znaczyć wszystko — my posiadamy tylko potęgę moralną i tej osłabiać nam nie wolno na żadnym odcinku, nie wolno nam tolerować żadnej dywersji.

Wracając do sedna poruszonej tu sprawy — jeśli ta garść dotkliwych wywo-

dów nie trafiła do przekonania, jeśli spotkają się z twardym egoizmem, chciałbym użyć odwodowego argumentu.

Logicznie, utylitarnie rzecz biorąc, uprawianie „kasztaniarstwa” nie opłaca się i jest bezużyteczne — jest niepotrzebne i bezcelowe, ponieważ zasady „wasze legiony — nasze miliony” — nie uduł się przeprowadzić.

Kiedy Bóg pozwoli nam wracać do prawdę Niepodległej Polski — to na granicy trzeba będzie zostawić niepotrzebny balast psychiczny i oddać sztuczkom używane kasztany dla wdów, sierot i inwalidów, (bo wkraczając do Kraju otrząśniemy „kasztaniarzy” jak proch z naszych stóp. Bo z zakłamaniem tych osobników raz trzeba skończyć! Nie o to rozpoczęliśmy walkę i nie o to się bijemy. Kasztaniarstwo pod przęgierz!!! Inaczej zaleją nas, zduszą i zagłuszą wszystko to, co człowiek ma pięknego i szlachetnego w duszy.

Aleksander Blum

Pamiętajmy!

Twórczość jest zmaganiem się z rzeczywistością. Literatura także świetność swą czerpie z owoców walk stoczonych z okalającym ją światem. Raz ulega mu i powstaje płód realizmu lub naturalizmu, to znów zwycięża i pęka łbania romantycznej fantastyki, lub otwiera się kalejdoskop surrealizmu.

Niekiedy jednak rzeczywistość swą niesamowitą grozą tak zaczyna fascynować, a jednocześnie terroryzować wyobraźnię pisarza, że staje on, ślaby urzeczony. I w przeraźliwym odrętwieniu sprowadza swą rolę do czegoś, co trudno określić. Staje się wrażliwym lustrem... z surdyneką, czy raczej lustrem, na które zarzucono nieśmiały łwoł.

Wówczas najodważniejsi sztukmistrze pióra tracą swą rozkiełzaną fantazję i zięczność techniczną i dają... „przemówić faktom”. Utwór sztuki przeraża się w dokument, pisarz w protokollanta. Z tą chybą różnicą, iż nie jest ramieniem karzącej, ale mitującej sprawiedliwości, że nie sporządza aktu oskarżenia i potępienia, lecz spełnia czyn odkupienia, jeśli nie zasłużonej gloryfikacji.

Jest jednak w tej pozornej rezygnacji pisarza coś moralnie pozytywnego: samoopanowanie się fikcji literackiej goniącej przeważnie za estetycznym efektem — raz głębszym, to znów bardziej zewnętrznym — na rzecz zupełnej prawdy, która jest swą najlepszą obroną. Tę prawdę uchwycił Melchior Wańkowicz w swych „Dziejach rodziny Korzeniewskich” *).

Tematem książeczki tej jest „szablono-wa historia” o wytypowaniu rodziny polskiej... W tym niedokończonym zdaniu jest tylko jedna — chciałoby się powiedzieć: drugorzędna — wątpliwość: przez kogo wytypiona? Czy przez Niemców, czy przez Rosjan? Czy przez sąsiadów zachodnich, czy przez wschodnich? Bo że przez jednego z nich, to nie ulega żadnej wątpliwości. Z drugorzędnych okoliczności i różnic w samej metodzie typowania wyni-

*) Melchior Wańkowicz: „Dzieje rodziny Korzeniewskich”. „Biblioteka Orła Białego”. Nakładem Oddziału Kultury i Prasy 2 Korpusu. Czcionkami „Gazety Żołnierza”. Włochy, 1945. Str. 77 i 3 nl.

ka to — przez którego. Zresztą, autor nie robi tu żadnej zagadki. Mówi wprost.

Życie zamienione w malignę, w której głód, niedostatek, niewola, „przeklęstwo pracy” i „błogosławieństwo bezrobocia”, „brudne metody i brudni ludzie” rzucają posiew śmierci — to wątek opowiadania Hanki Korzeniewskiej i dzienniczka jej siostry Oli z pobytu na „wysiedleniu” w Rosji — z dyskretnymi komentarzami, wszystko to przekazane nam przez autora ku pamięci. Szczegóły wydają nam się tu teraz też drugorzędne, „bez znaczenia”, skoro rzecz pierwszorzędna — życie ludzkie zostało stracone. I to niejedno życie ludzkie.

W tej całej makabrze staramy się wyszukać słabe światełko nadziei. A to, że ta metoda tępienia okazuje się ostatecznie nieskuteczna. Że przecież choć jedna osoba z tej licznej rodziny uratowała się od zagłady. A przez to pociecha druga, choć też niewielka — że jest jednak komu dać świadectwo prawdy. To mało, ale może i wiele.

Bo z prawdą, to jak z dobrocią. Daje się długo poniewierać, pozwala długo z siebie szydzić, ale w końcu bierze swój odwet. I to nie tylko tam, na tamtym świecie.

Jak chcą pesymiści, ale nie raz i tu, na tym padole płaczu, w tym jeszcze życiu doczesnym. A przy tym mnożą się mściciele, których jeśli będzie choć jeden na jednego straconego, to już zdziałają więcej, niżby te wszystkie ofiary razem wzięte miały dokonać. Gdyż w tym nieludzkim tępieniu jest tyle podłości, iż najczęściej bije w słabe, a prawdziwej siły ustępuje.

„Korzeniewscy” Wańkowicza ukazali się po „Starobielsku” Czapkiego. W tym „wyścigu ze śmiercią” śpieszą z wiciami pisarze, artyści, sztuka — nie bez poświęcenia ze swej strony. Byle zdążyć z obroną tego, co idzie na zatrącenie. Pośpiech się udziela. Śpieszy i wydawca, nie nadążając nawet z należytą opieką dla tych „krwawych słów”. Jak przez za szybko nałożone bandaże przeciekają na karty książki błędy, niedociągnięcia. Może w następnym CCS wydawniczym, w przekładzie na języki obce, ten opatruneł drukarski będzie staranniejszy. Bo i z tymi przekładami będzie też pośpiech nielada, aby wzbudziły należyty odruch solidarnej pomocy.

S. O. S.

Pen.

Księżyc nad Cassino

Włodzimierz Sznarbachowski w przedmowie do świeżo wydanego tomiku wierszy Jana Olechowskiego*) „Prostą jak sosna wyrosnąć” przypomina nam, że ten młody poeta przed wojną był bardzo aktywnym uczestnikiem bojowej organizacji młodzieżowej i że nadto opracował teoretycznie, a także usiłował rozwiązać praktycznie, zagadnienie literatury dla szerokich mas.

Wszystkie te zapowiedzi mogłyby nasunąć obawę, że w tomiku znajdziemy poezję społeczną. Ktoś dał kiedyś wyraz przekonaniu, że „dobrymi uczuciami tworzy się złą literaturę”. Jeden z naj-

subtelniejszych, najmniej płodnych i najmniej znanych poetów polskich doby przedwojennej — Wicenty Korab-Brzozowski, obecny przy rozmowie o poezji społecznej, zapytał naiwnie: „De la poésie sociale, est — ce que cela existe?...”

Przypuszczać jednak należy, że w sztuce, podobnie jak w miłości, można zawsze znaleźć to, czego się szuka. Nie wiem, co inni czytelnicy znajdą w świeżo wydanym tomiku wierszy Jana Olechowskiego. Autor niniejszych uwag szukał w nim przede wszystkim poezji. I znalazł ją.

Olechowski jest jednym z najbardziej płodnych poetów 2 Korpusu. W swym tomiku jednak, może nie bez żalu swych czytelników, bynajmniej nie przedrukował wszystkich swych rozrzuconych po czasopiśmie utworów poetyckich, pominał nawet niektóre z tych, które się

*) Jan Olechowski: „Prostą jak sosna wyrosnąć” - poezje. Przedmowa Włodzimierza Sznarbachowskiego. Nakładem Oddziału Kultury i Prasy 2 Korpusu. Włochy, 1944. Str. 36.

ukazały w antologii „Azja i Afryka”. Nie bez pewnej więc, skądinąd chwalebnej i pełnej smaku, kokieterii ograniczył swój debiut wydawniczy do ram szczuplejszych, zato o charakterze bardziej zwartym, finezyjnym i jednolicie lirycznym. Słowem, zaawansował w hierarchii literackiej z poety wojennego do stopnia poety tout court. Nie znaczy to, by brakowało w tomiku Olechowskiego tonu bojowego, tak charakterystycznego dla większości poetów 2 Korpusu. Jest on dość silnie zaakcentowany i blisko pokrewny tyrteuszowej muzie Broniewskiego, podobnie jak i inna dominująca w naszej poezji nuta — nostalgiczna.

Ale pieśń wojenna Olechowskiego jest bardziej liryczna niż epicka, bardziej indywidualna niż zbiorowa, zyskując przez to na prawdzie i ludzkości. Poeta tak np. uwypukla inwazję wojny w domenę osobistego szczęścia:

Na miłość naszą wojenną spotkaną
[gdzieś na szlaku,
Na wargi, włosy i oczy, pieszczot
[szalonych haszysz —
Wojna codziennie opada cieniem
[drapieżnych ptaków
Niosąc złowieszczy niepokój — daleki
[warkot maszyn.
Trudno jest kochać miła, gdy serce
[uderza o kraty
I z ciszy mrocznej wyławia werbli
[stłumione głosy...

Nawet utwór zatytułowany „Montecassino” jest utrzymany w tonie osobistego wyznania:

... Jakim was wierszem żegnać,
[pieśnią nieudolną
Gdy wszystkie słowa są ślaczem żal głuchy,
[serdeczny,
O, towarzysze broni — nam płakać
[nie wolno...

Poeta zdecydowanie odwraca się od bombastycznej batalistyki poetyckiej, jaką mu kiedyś niesłusznie wytknął sprawozdawca literacki „W drodze”:

... Odrzucamy bez żalu barwne
[proporczyki
I nie będziemy słuchać kolorowych
[hasel — ...

Odżegnywa się też od tęsknot za piosenką ułańską. Może nie bardzo mu, po-

dobnie jak „Nocom idącym chmurami po niebie”, należałoby wierzyć, gdyż w innym miejscu snuje marzenie:

... Czyżby i teraz, o świecie jasnym,
[spadli na wzgórze
Żołnierze — maki z pieśnią na
[ustach...

Autor przedmowy słusznie podkreśla w poezji Olechowskiego nutę futurystyczną. Przejawia się ona silnie w aspektach urbanistycznych, ale należałoby też dodać, że i ogranicza się do nich, agresywność bowiem Marinettiego i jego militarizm Olechowskiemu — żołnierzowi są całkowicie obce. Nade wszystko jednak, na przekór futurystycznemu hasłu: „Uccidiamo il chiaro di luna”, Olechowski jest właśnie poetą księżycowym. Księżyc pojawia się często w jego utworach i nawet Wzgórze Klasztorne ukazuje mu się w srebrzystej poświacie:

... I może tylko księżyc, mnich w
[srebrnym habicie
Odprawiając misterium, srebrzy pole
[bitwy...

Zdaje się, że Olechowskiemu, chociaż tę skłonność, jak na zdyscyplinowanego żołnierza przystało, usiłuje przezwyciężyć, nie byłaby obca zmierzchowa aura Baudelaire’a, Jasienina czy Gałczyńskiego, która tak silnie znamionowała kiedyś pewien okres przedwojennej twórczości Broniewskiego:

... A gdy wieczór nad miastem
[zaciągnie kurtynę
I sen nie dotknie powiek zapomnieniem
[krótkim,
Gdzieś w podziemnych tawernach,
[obłąkani winem
Odpychamy złe myśli-gorzkie
[prostytutki.

Najbliższy jest jednak i przez swą nowoczesną starannie wyczelowaną formę stylu i wersyfikacji i przez deklamacyjną melodyjność wiersza i przez liryczną nastrojowość, nie wyzbytą pewnej zmysłowości — twórczości wczesnych Skamandrytów. Liryzm Olechowskiego, szczególnie w erotykach („Żonie mojej...”), jest pełen prostoty, bynajmniej zresztą nie spontanicznej, a świadomej, celowej i artystycznej (o czym świadczy nawet modlitewny tytuł tomiku), wpływającej

na szczęście w większym stopniu z kunsztu poetyckiego niż ze szczerości, tego przereklamowanego uczucia, które w życiu często graniczy z wulgarnością, a w sztuce rzadko jest walorem pozytywnym.

W dyskusji, jaka się wywiązała w naszej prasie wojskowej o antologii „Azja i Afryka”, niektóre głosy wysuwały pewne zastrzeżenia wobec tego, co można określić jako elephantiasis sprawy narodowej w polskiej twórczości artystycznej, inne — tę osobliwość naszej literatury i sztuki apologizowały. Należałoby zauważyć, że poezja Olechowskiego jest najbardziej autentycznie polska nie tylko dlatego, że — jak przystało na wygnańczego poetę — parokrotnie wspomina Chopina i „Sonety Krymskie”, że dwa utwory w całości, a inne częściowo poświęcił zburzonej Warszawie, że zamyka zbiorek modlitwą do Jasnogórskiej Madonny, podkreślając jeszcze jej arcypolskość żołnierską bliznami od szabel, że pisze:

...I tylko jedno bić nie przestanie
[melodią miękką:

Polskie naiwne, sentymentalne, uparte
[serce...

ale nade wszystko dlatego, że w wielu fragmentarycznych twórcach jego wyobraźni plastycznej, w obrazach kobiet klęczących przed krzyżem, modlących się sośen i rozkołysanych brzóz, w wizjach takich jak:

... Wszystkie się kwiaty pochyła w
[modlitwie jasnej, serdecznej

Wsluchane w żarliwy różaniec
[świerszczy grających na polu...
... Czujesz jak wieczór do snu rzekę
[wiatrem pieści — ...
... Że nad grobem nie szumi brzoza
[płaczem wiejskim,...
... Pamiętasz... rozmodlone drzewa w
[leśnej ciszy...

albo w wierszach:

... Myślę o utraconej, dalekiej,
[chmurnej jesieni
Spętanej deszczem, wiatrem, gorzko
[łkającej Szopenem.
Myślę o drzewach wpatrzonych sennie
[w zamglone wioski.
Gdzie życie płynie niezmiennie,
[najciszej i najprościej...

wyraźnie wyczuwa się ten sam szopenowski liryzm, jakim tak silnie nasyczone są pejzaże Chełmońskiego:

No, a dwiema strofami urzekająco romantycznego wiersza: „Zapłatało się życie w węzły...”:

... Płyną wieści... czarne kruki
[kraczą...

Rosną łuny na ziemi kresowej,
Nasze serca ścisnięte rozpaczą
Jednym rytmem uderzają: Lwowem.

Ciągną hordy wojenne drogami —
(Czemu ręce ściskasz bezsilnie?)

Czemu serce nabrzmiało łzami

Weiaż o jednym szepce: o Wilnie...
przemawia Olechowski za nas wszystkich.

Azymut

Tak się robi propagandę

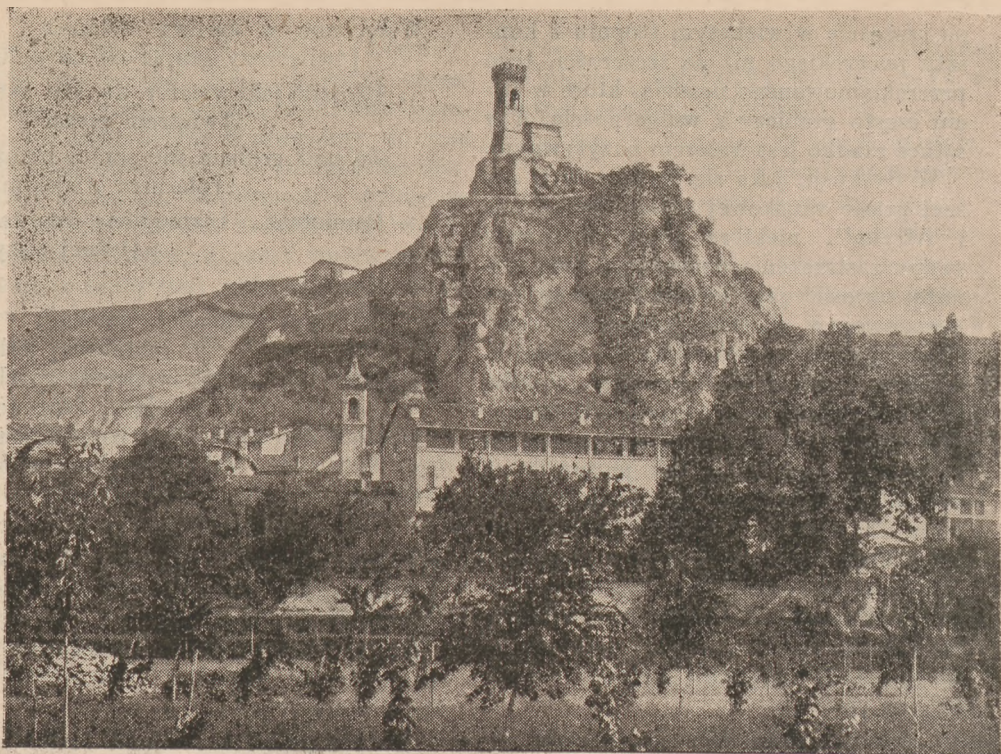
Niedawno ukazały się na ścianach domów m. p. Kresowej afisze zawiadaniające, że: „Naafi presenst Ensa Entertainments for H. M. Forces, Anglo-Polish Ballet with Alicją Halamą, Czesław Konarski and full Corps de Ballet af 40 Artists”.

Dalej stało, że na program złoży się: Les Sylphides. Grand Divertissement and Cracow Wedding.

Przedstawienie rozpoczyna się o osiemnastej trzydzięci. Mam sporo czasu, po-

stanawiam odnaleźć Halamę i Konarskiego, pomówić z nimi.

Tego dnia, pierwszy raz w życiu, przeżyłem wiele dziwnych uczuć. W hotelu Ensa'y zastałem tylko panią Alicję. Konarskiego nie było. Była właśnie popołudniowa cup of tea. Halama bardzo się zażenowała: „Ja proszę pana nie umiem tak ładnie mówić... jak trzeba dla prasy... może raczej. Czesław... Ja... no, cóż, tańczę... i to wszystko”. Błyskawicznie pomyślałem: nie tąd droga, młody a zach-



Brisighella: wieża zegarowa.

wycony piękną buzią człowieku. „Wi-
działem dziś panią w teatrze na
przedstawieniu naszego Teatru Drama-
tycznego... Podobała się pani „Zemsta”?”
Tancerce zaśmiały się oczy. Poprosiła że-
bym usiadł: „Wspaniałe przedstawienie!
Wasz Korpus ma świetny teatr... W porów-
naniu z tym co widziałam w Anglii... ale...
nie ma właściwie żadnego porównania...
bardzo, bardzo mi się podobało...” „Czy
pozwoli pani, że i o tym wspomnę pisząc
o was?” — spytałem. Na delikatne policzki
znowu wystąpiły rumieńce: „Doprawdy...
przecież ja nie jestem żadnym autoryte-
tem...”

Ale, zanim doszło do przedstawienia,
miałem możliwość z „Alicją z krainy cza-
rów” jak pomyślałem patrząc na artystkę —
miałem możliwość z nią pomówić. W przy-
tulnym hallu było bardzo po domowemu.
Pierwsze lody przysły bardzo szybko. Pani
Alicja oswoiła się. Dzieje swoje od wyjazdu
z Polski opowiedziała stylem supertelegra-
ficznym: „Ano cóż... po przyjeździe do
Francji trochę nudziłam się w Paryżu.
Bardzo byłam przygnębiona, nie wiedzia-

łam, co się dzieje z siostrami. Ta wojna
spadła jak topór. Ale powoli poodnaży-
wałam swoich. Loda okazała się w Szwaj-
carii, Zizi w Krakowie. Potem- pan wie.
Francja upadła. Przywędrowałam do An-
glii. Postanowiliśmy z Konarskim coś ro-
bić. Cóż my możemy robić? Tylko tań-
czyć... Skleciłmy więc zespół i tak się
zaczęło. Konarski pracował za wszystkich.
Występowaliśmy w wielu miastach, dużo
przedstawień daliśmy dla wojska. Teraz
jesteśmy tutaj. Na okres objazdu po Wło-
szech współpracujemy z ENSA. Stąd, jak
pan widzi... chodzę w takim nietwarzo-
wym mundurze...” „Pani w każdym mun-
durze jest jak najbardziej do twarzy...”
zaprotestowałam natychmiast. Alicja do-
rzuciła jeszcze kilka słów: „Praca jest
ciężka... Przyznam się szczerze, że trochę
się boję wojny... ciągle tak blisko jesteśmy
frontu... ale dotąd nie spotkała nas żadna
wojenna przykrość...”

W chwili gdy udało mi się wycygnąć
jedyną fotografię, jaką artystce została,
okazało się, że trzeba iść do teatru. Ko-
narski miał przyjść od razu do garderoby.

Nie było jeszcze szóstej, ale przed „Popolo Teatro” stała wijąc się razem ze skręcającą ulicą, kilometrowa kolejka. Ponieważ miasto charakteryzuje się wielką ilością Anglików, Polacy w kolejce stanowili najwięcej połowę publiczności. Ta połowa stała bliżej drzwi, które właśnie otworzono i na bezpłatne przedstawienie baletu runęły potężne liczebnie oddziały wojsk sprzymierzonych.

Fortepian srebrnie rozsywał pierwsze dźwięki. Polonez Chopina. Nowozelandzki major z prawej strony poprawił okulary. Młody chłopiec z naszej Dywizji powiedział cichutko: tutaj wolno grać Chopina... Pomyślałem o książce „Swastyka nad Warszawą”: koncert chopinowski w okupowanej przez Niemców Warszawie.

Potem był pierwszy numer programu — Les Sylphides. Na scenie byli angielscy tancerze i angielskie tancerki. Tai czyli dobrze, ale polska publiczność słyszała przede wszystkim muzykę. Grał przecież Chopina.

W Grand Divertissement na scenę wyłoczył jak z procy doskonały Jan Lawski. „Polish Hussar is very nice” powiedział rozentuzjasmowany Nowozelandczyk.

Potem uroczą Shelang Dovison odtączyła fragment z Giocondy Ponchiello, a Eunice Gibson pięknie wyglądała w Chisrolma — „Shen Treweś”. Taniec szkocki „Garotine” z wdziękiem wykonała Oenone Talbot.

Buchły, jak pociski armatnie, brawa. Popłynęła muzyka Schuberta. Na scenę wpłynęła Alicja Halama z Czesławem Konarskim. Na sali zapanowała niczym nie-

zamałona cisza. Dwójka Polaków tańczyła dla około tysiąca żołnierzy frontowych, ludzi mało czułych na śmierć, ludzi, którzy od wielu lat unikają śmierci na swoich bojowych odcinkach, ludzi, na których śmierć nie robi wielkiego wrażenia. Teraz ci ludzie byli zahipnotyzowani. Patrzyli na piękną i wspaniałą tańczącą Polkę. Patrzyli i wiem, że niejeden Anglosas zrozumiał Polskę dzięki wielkiej, choć drobniutkiej pani Alicji o wiele głębiej, niż rozumiał ją dotychczas, gdy tłumaczono mu o naszych bolesnych sprawach w gazetach i radiach.

Pilnie studiowane programy zapowiedziały „Matthew is Dead” albo bardziej po swojsku: Umarł Maciek, umarł. Tutaj Konarski zabłysnął nie tylko jako tancerz wielkiej klasy, ale i jako baletmistrz.

Przywrócony do życia muzyką Maciek porwał salę, zmusił do wręcz szalonych oklasków.

Przedstawienie zakończyło się przepięknym „Weselem Krakowskim”, odtarcionym do muzyki zresztą skompiłowanej przez T. Glińskiego. Tutaj Halama i Konarski przeszli nasze najskrytsze wyobrażenia.

Kiedy o podłogę uderzały ostatnie tupnięcia oberka, żołnierze, nie doczekawszy końca, zagrzmiali głośnie brawami.

Długo tego wieczoru nie zapomnimy.

Wracając z przedstawienia, podniosłem do góry głowę, aby popatrzeć na mknące w stronę niemieckich stanowisk alianckie bombowce. Znowu była dokoła wojna. Grała artyleria. Chopina i panią Alicję zastąpiła proza codzienności.

J. Żwirbliś

Do Czytelników

W poprzednim numerze „Na szlaku Kresowej” w artykule dyskusyjnym P. Michała Pawlikowskiego p. t. „Niec o cywilizacji i sztuce” została opuszczona część zdania. Powtarzamy więc — dla uniknięcia nieporozumień — zniekształcone zdanie w brzmieniu takim, jakie chce mieć autor:

„W sztuce prawem jest norma. Dopiero poczucie normy daje wagę każdemu odstępstwu od normy, harmonia kontrastów dokoła

poczucia normy, która jest rdzeniem niewidzialnym dzieła, jest sztuką”.

Równocześnie informujemy czytelników, że pismo nasze jest redagowane i drukowane w warunkach dalekich od normalnych. Włoscy linotypiści, nie znający języka polskiego, poprawiając jedne błędy — robią inne, często większe od usuwanych. A że to nie raz ma miejsce już podczas rewizji, zachodzi konieczność rezygnacji z poprawiania drobnych usterek, zwłaszcza tych, które nie zmieniają treści.

SPIS TREŚCI

	Str.
Wykonania dopilnujemy!	3
Wielkość Cassina <i>Klemens Rudnicki</i>	4
Za naszą i waszą wolność <i>Czesław Kwieciński</i>	6
Kresowa pod Cassino <i>Melchior Wałkowicz</i>	11
Idea <i>Jarosław Nagórski</i>	15
O wolność i siłę <i>On</i>	17
Elegia o żołnierzu-tułaczu <i>Jan Olechowski</i>	21
Zaborczość moskiewska i imperializm rosyjski	22
„Władza radziecka pochodzi od Boga“? <i>Witold Zahorski</i>	25
Na Indochiny i Burmę <i>J. Moran</i>	27
Koniec walki o Pacyfik <i>Jerzy Puszczyński</i>	30
Linia podziału <i>J. Z.</i>	32
Bazylika Santa Maria degli Angeli <i>Giosue Carducci</i>	40
Bezkompromisowy <i>Herminia Naglerowa</i>	42
Sztuka na rozkaz? <i>Marian Kościatkowski</i>	44
Natarcie <i>Witold Szyfer</i>	45
Już jutro Bolonia <i>Korespondent</i>	47
Via Romagnola <i>Jerzy Bazarowski</i>	49
Przechodzimy przez Gaiano <i>Marek Święcicki</i>	50
Cleo <i>Seweryn Ehrlich</i>	53
Faenza <i>Wiktor Szach</i>	54
Spotkanie w Bolonii <i>Tadeusz Zajaczkowski</i>	55
Idź złoto do złota—my, Polacy, zwy- ciężymy żelazem! <i>Aleksander Blum</i>	56
Pamiętajmy! <i>Pen</i>	58
Księżyc nad Cassino <i>Azymut</i>	59
Tak się robi propagandę <i>J. Żwirblis</i>	61
Do Czytelników	63

Okładka — Aleksander Werner

KSIEGARNIA
ANTYKWARIAT



297439 F
XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

